Nr. 6. Marzec. 1862.



DWUTYGODNIK LITERACKI.

Wychodzi w Krakowie w połowie i na końcu każdego miesiąca w objętości najmniéj 2ch arkuszy — do których raz w miesiąc dodają się tablice z krojami, wzorkami i deseniami. Prenumerata w miejscu kwartalnie 1 zł. 50 cen. w. a., półrocznie 3 zła.— rocznie 6 zła. — Dla prowincyi z przesyłką pocztową: kwartalnie 2 zła.— półrocznie 4 zła.— rocznie 8 zła.—W królestwie pruskiem z przesełką pocztową: kwartalnie 1 Tal.,—półrocznie 2 Tal.— rocznie 4 Talary. — Prenumerować można w Redakcyi w Krakowie przy ulicy Różanej pod L. 417,— w Administracyi dziennika „Czas“ i w księgarni Baumgardtena. — Miejscowi odbierać mogą Wieniec w Ekspedycyi „Czasu.“— Listy niefrankowane nie przyjmują się.

Ogłoszenie przedpłaty na „WIENIEC“

Z dniem 1ym kwietnia r. b. poczyna się **drugi kwartał** istnienia dwutygodnika **WIENIEC.**

Redakcya z każdym dniem wzrasta w siły pracujące, tuszy przeto, że również i każdy numer „*Wieńca*“ w wartości podnosić się będzie. By zaś z utylitarną jego stroną połączyć o ile to się da i ozdobę, Redakcya zamówiła za granicą wykonywane rysunki haftów, robót kanwowych, krojów i modelów, które jak dotąd raz na miesiąc do „*Wieńca*“ będą dodawane. — Ktoby zaś życzył sobie i ryciny *Mód paryskich kolorowane,* **to za dopłatą 1 zł. 25 cen. w. a. na kwartał,** także co miesiąc odbierać je może.—Przedpłata jak dotąd pozostaje: miejscowa **rocznie** 6 zł. w. a.— z przesyłką pocztową **na rok** 8 zł., **na pół roku** 4 zł., **na kwartał** 2 zł. w. a.—W królestwie pruskiem: **rocznie** 4 talary, **półrocznie** 2 tal., **kwartalnie** 1 tal.— z **modami** 6½ talara.

Aby zaś szanowni Abonenci nie ponosili kosztów przesyłki pieniężnej, mogą przedpłatę na „*Wieniec*“ przesyłać w jednym liście zwrotnym wraz z przedpłatą na Dziennik „*Czas.*“

Redakcya uprasza o wczesne zamówienia tym celem, aby nakład zastósować mogła do liczby swych Abonentów.

☞ Tym zaś szanownym Abonentom, którzy do dziś dnia odbierają pismo: „*Wieniec*“ a przedpłaty nie uiścili, przypominamy spieszne nadesłanie takowej.

O CZYTANIACH ŚWIĄTECZNYCH.

Według nauki kościoła, w dniu świątecznym względy na utrzymanie doczesnego życia, ustępują wymogom życia duchowego, a cała myśl chrześcianina zwrócić się powinna ku temu nieśmiertelnemu życiu w wieczności, które stanowi istotę przeznaczenia jego.

Całe urządzenie dnia świątecznego odpowiada temu zamiarowi w przybytku pańskim. Lecz czyli mu odpowiada i w domu?

Wielu mniemają, że zadosyć uczynili wszelkim obowiązkom duchowego w bogobojności życia, jeżeli w niedzielę lub święto przesiedzą pół godziny w kościele, podczas gdy się msza św. odprawia.

W zimie osobliwie, jak najkrótszy pobyt w kościele staje się obowiązkiem hygienicznym, przepisem lekarskim, potrzebą zachowania zdrowia. Bo też Bogiem a prawdą powiedziawszy, w żadnym kraju i narodzie kościoły nie są tak zaniedbane i w zimie niezaopatrzone jak u nas. Gdy we wszystkiem innem aż do przesady komfort.

panuje, w kościołach naszych taka sama jeszcze wygoda lub raczej niewygoda istnieje, i niewzględność na ludzkie zdrowie, jak za Bolesławów lub Kazimierzów. Pod tym względem nie dopatrzy się żadnego postępu.

Trudno więc nawet wymagać, aby płeć słabsza, delikatniejsza, przydłuższych w zimie miała słuchać kazań, kiedy i w lecie nie zawsze chętnie garnie się do nich.

Ale łatwo też pojmiemy, że przy głębszem zastanowieniu się, żadne sumienie tem się nie zaspokoi, iż raz w tygodniu półgodzinną w kościele modlitwą, potrzebom religijno duchowego rozwoju życia zadosyć czyni.

Co więc z jakichkolwiek ważniejszych przyczyn nie dopełnia się w kościele, to dla duchowego pożytku powinno uzupełniać się w domu. A do tego posłużą szczególnej *czytania świąteczne*.

Przed nabożeństwem, a może właściwiej po nabożeństwie, jeżeli już nie rano, to po południu, wypadałoby godzinkę jaką poważnemu, budującemu, religijnemu, pouczającemu czytaniu poświęcić. A to powinno być uważane jako obowiązek sumienia, jako dopełnienie religijnej powinności, jako postęp duchowego i religijnego rozwinięcia i wychowania.

Jeżeliż atoli zgodzimy się na to, że takie czytanie jest potrzebne, jest pożyteczne, natychmiast drugie nasuwa się pytanie: *Co czytać należy?*

Mają zwykle w takich razach napogotowiu odpowiedź: Czytaj Tomasza a Kempis: O naśladowaniu Chrystusa. Lub czytaj: Żywota świętych, napisane przez Skargę.

Jedno i drugie dzieło niezmiernie jest piękne i pożyteczne. A jednakże ani jedno ani drugie nie zdaje mi się być dość odpowiednie do powszechnego na dni świąteczne zajęcia pobożnych umysłów.

Pierwsze, tak jest wysoce ascetyczne, iż zaledwie w najuroczystszych życia chwilach, powinno być w ręce pobożnej dziewicy. Takie uniesienie nie może być chlebem powszednim osób, wieloma obowiązkami i troskami do tego świata przykutych, i do praktycznego życia powołanych. Jest to księga namaszczenia dla Maryi,— Marta zaś innego trochę potrzebuje prowadzenia. Rozbrat albowiem między religią a życiem powszednieni czyni religijność niepraktyczną i zniepokaja sumienia.

Drugie, to jest Żywota Świętych, wprowadza czytających w świat niestety dotąd tylko wyjątkowy, pełen nadzwyczajności i cudowności. Jest to, jak gdybym przyszłą gospodynię domu, chcąc uczyć ogrodnictwa, wprowadził do cieplarni, wskazując jej chów ananasów, fig, pomarańcz i innych egzotycznych krzewów i roślin, a nie zapoznał ją pierwej wcale z pielęgnowaniem zwykłych owoców i warzyw ogrodowych, które przecież w każdem gospodarstwie niezbędnie są potrzebne, i do koniecznych jego warunków należą.

Cóż więc dać dziewicy do rąk do świątecznego czytania?

Oto zdaje mi się, że taką książkę jeszcze stworzyć należy.

Powinnoby zaś dzieło to zawierać:

A. Przedewszystkiem: Zbiór nauk Chrystusa Pana, z czterech ewangielij wyjęty. Wykład np. kazania Pana Jezusa na górze galilejskiej. Gnomologia jego, według ewanielii św. Łukasza itd.

B. Wyjątki z dziejów apostolskich, i w ogóle z dziejów kościoła katolickiego, przedstawiające rys rozwoju cywilizacyi chrześciańskiej.

C. Żywoty świętych, w krótkich, treściwych, do praktycznego życia zastósowanych obrazach. Przedewszystkiem żywoty tych świętych, których nazwy więcej między nami upowszechnione, oraz żywoty świętych przodków i patronów narodu naszego.

D. Obrazy postępu wiary, czyli stan missyj katolickich między innowiercami.

E. Dziwy natury w świecie roślinnym, zwierzęcym i t. d. Pogląd naukowy na inne gwiazdy i na twory niebios; wszystko to zwrócone do coraz głębszego poznawania i uwielbienia najmędrszej Boga wszechmocności.

Co jeszcze taka księga zawieraćby powinna, to zostawiam innym do zbadania i ocenienia.

X. W. Serwatowski

Dzień jeden z życia polskiej artystki.

(Obrazek zdjęty z rzeczywistości.)

Dziwna to jest zaiste — a jednak tak się zwykle wydarza na tym bożym świecie: że występek spełniony w największem ukryciu, a czasem zaledwo dopiero pomyślany, rozgłosi się w jednej chwili nietylko w miejscu, ale i w dalsze okolice wieść o nim leci pędem lokomotywy, z rozmaitemi jeszcze improwizowanemi dodatkami,—gdy cnota cicha, skromna, najczęściej przechodzi przez tę ziemię niepostrzeżona i od tych nawet, o których się ociera.— Jeżeli zaś dowiesz się o spełnionym czynie, szlachetnym lub poświęceniu, to gdzieś z daleka dojdzie cię to podanie niejasne, niepewne, jak błogie ale błędne echo. W miejscu zaś spełnienia, pewno nikt o tem niewie, bo dziś ludzie tak przesadnie są troskliwi o postęp moralny ludzkości, że przed teleskopem nerwowej ich czujności, nie ujdzie błędzik najdrobniejszy—tak zaś boją się, żeby za ich przyczyną nie powstała próżność w sercu bliźniego, że tą subtelną powodowani sumiennością, wolą pobożnie zamrużyć oczy na cnoty i zasługi innych, ignorując je najabsolutniej.

Kto jednak szczerze miłuje w Bogu piękno wszelkiego piękna, którego cnota najdoskonalszem jest odbiciem, tego świętym obowiązkiem być powinno napotkawszy ją gdziekolwiek, pod strzechą, w pałacu, w kramie, biórze lub warsztacie, choćby najgłębiej ukrytą, podjąć skwapliwie i rzucić w oczy zimnemu i samolubnemu światu.

Do bióra spedycyjnego pana N. weszła o przedpołudniowej godzinie kobieta dosyć jeszcze młoda, dobrze ubrana i szlachetnej powierzchowności.

— Czy zastałam samego pana N.? zapytała nieco zmięszana widokiem mnogiej liczby pomocników bióra, piszących przy zielonych stolikach, a w tej chwili zwracających z ciekawością widoczną ku niej oczy; bo życzeniem jej było pomówić z samym panem N. na osobności i bez świadków.

— To usłuk — odezwał się siedzący za najozdobniejszym stolikiem okrągły jegomość, powstając z krzesła z poważno-uprzejmem skinieniem głowy— Cóż pani toprocika sopie życzysz?..

— Moja paka z obstalunkami nadeszła podobnoś wczorajszym wiedeńskim pociągiem? zapytała zbliżając się do pana N. przybyła.

— A tak— jest potopnosz....

— Dzięki Bogu! zawołała kobieta w uniesieniu najżywszej radości — a później dodała niezbyt śmiało: Czy mogę zabrać ją zaraz z sobą?

— I ofszem i ofszem— tu jest conto, saras tylko fragt jeszcze toliczymy — odrzekł otyły jegomość już za stolikiem usadowiony napowrót; wyjąwszy z za prawego ucha pióro, pociągnął niem parę razy po kartce rachunkowej, i podniósłszy się nieco, położył ją na stole z tym dodatkiem: Sietemciesiąt minc, ot i cała suma.

— Ja prosiłabym pana dobrodzieja o cierpliwość do tygodnia....

— Cisiaj, teras, saras, w ten moment kaszę otnieszcz! przerwał proszącej usłużny p. N., tylko, tylko... dodał poruszając palcami, jakby liczył już pieniądze na stoliku.

Osoba rozmawiająca z panem N. w jego biórze była to panna Emilia T., która w kwiecie swego wieku występowała na scenie narodowej, więcej z zamiłowania w sztuce, niż z potrzeby— później posłuchawszy perswazyi rodziny i swej matki, wreszcie i niewiadomemi nam dobrze spowodowana okolicznościami, usunęła się z widowni, i przez lat kilka mieszkała z matką na wsi, gdzie małe gospodarstwo własne dostarczało im utrzymania; gdy zaś z powiększonemi potrzebami rodziny, dochód ten okazał się niedostatecznym na jej skromne utrzymanie, panna Emilia mając zawsze pociąg do scenicznego zawodu, a nie czując się usposobioną do żadnego innego, mogącego byt jej zapewnić, wyjechała do miasta, gdzie po niemałych przebytych trudnościach, udało jej się w końcu skłonić dyrekcyą teatru do wejścia z nią w układy— wystąpienie zaś dnia tego w roli Elżbiety angielskiej, miało stanowić o jej przyjęciu stałem, a ztąd i dostarczeniu choć miernego bardzo sposobu do życia nietylko jej samej, ale jej matce i młodszemu rodzeństwu. Paka zaś nadeszła co tylko z Wiednia, o której tu właśnie mowa, zawierała cały strój przyszłej królowej, a razem i wszelkie nadzieje biednej Emilii, co i dla pana N. nie było tajemnicą.

— Nie jestem w tej chwili przy pieniądzach— odrzekła więc nieboga drżącym i błagalnym głosem; — dziś przedstawienie, jak panu D. wiadomo, tyle dla mnie ważne...a ja nie mam jeszcze kostiumu....

— Ha, ha, ha! rozśmiał się pan N. z całego gardła—Pani szartujesz sopie semnie, to taka bakatelka! niema o czem i moficz..

— To przynajmniej do kilku dni — do jutra wreszcie... nie odmawiaj mi pan D. tej grzeczności...prosiła coraz ciszej.

— Ale ja nie mokem czekać— i ja nie chcem czekać, ofuknął N. rzuciwszy się w krześle jak szczupak w sieci. — Gdybym zaś i mokł, dodał po chwili nieco łagodniej, to musiałpym na tem tracicz — a pytam sze najpszot po co? a potem na co miałpym tracicz?.

— Sądziłam, iż to panu Dobr. nie uczyni tak wielkiej różnicy...próbowała raz jeszcze, ale już widocznie słabnącym głosem.

Pan N. nic już nie odpowiedziawszy, usiadł napowrót za swoim stołem i wziął się do pisania. Biedna T. wybiegła z bióra, przechodząc błędną prawie myślą, gdzie i do kogo mogłaby się udać o pożyczenie pieniędzy.

Tak biegnąc, nie wiedząc sama dokąd, mówiła w myśli do siebie:

Żaden z starozakonnych lichwiarzy nie zechce mi pożyczyć bez zastawu;— u komorników.. pieniędzy wprawdzie dużo, słów grzecznych jeszcze więcej, ale współczucia prawdziwego?... gdybym żądała rumianku szklankę, to możeby mi jej nie odmówił. — U księżnej? tam wprawdzie myślą seryo o losie nieszczęśliwych, ale ja nie mam łaski... Do poczciwej konsyliarzowej?. zacne to serce, ale familia liczna, mąż sknera, ona sama nic nie może... A gdyby też do baronowej?.. ona tak dla mnie uprzejma, słodka.. zdaje się mieć i czucie—ale mówiono mi, iż stosunki wiele ją kosztują...Tak idąc biła się biedna z myślami, gdy wtem śpiew poważny i stłumiony głos organu przypomniał jej, że mija drzwi kościoła; zatrzymuje się więc i wchodzi pociągnięta mimowoli;—w przedsionku biorąc wodę święconą na czoło, spotyka podobnież sięgającą do kropielnicy już na wycho-

dnem będącą panią E., której magazyn zwykła była nawiedzać niekiedy po niezbędne toaletowe przybory i elegancye.

Kto sam cierpi, i na drugich dolegliwości czulszym bywa nierównie od tego, kto ich nigdy nie doświadczał. Panią E. która właśnie była u stopni ołtarzy szukać dla siebie pociechy, uderzyła niezwykła bladość lica i widoczne pomięszanie panny T.; zapytuje więc otwarcie o przyczynę, i również szczerą otrzymuje odpowiedź i wyznanie całej przykrości położenia biednej swojej znajomej.— Jeżeli nie uda mi się, mówiła ona ze łzami, do południa pożyczyć gdzie 70 fl. m., wszystko przepadło dla mnie, jestem zgubioną, a ze mną i biedna moja matka i rodzina, bo mnie trudno będzie przeżyć to upokorzenie!—Pani E. słuchała jej zwierzań i żalów z pewnem roztargnieniem, jednak nie bez prawdziwego udziału, a po chwili rzekła: Nie rozpaczaj tylko Pani, niepodobna, skoro jesteś już prawie zaangażowaną do tutejszego teatru, abyś na tak niewielką sumę nie znalazła kredytu.

— Ach! pójdę wszędzie, zniosę wszystko, aby tylko uniknąć tak bolesnego skompromitowania!

— Czy nie możnaby pożyczyć gdzie bogatej sukni, kosztowności potrzebnych—a może u mnie dałoby się naprędce zrobić stósowne ubranie?.

Panna T. przyłożywszy rękę do czoła, jakby zebrać chciała rozpierzchnięte myśli w głowie i na ostatnie zdobyć się wysilenie, po chwili zawołała radośnie:

— Aha, podałaś mi pani kochana myśl szczęśliwą, doskonałą! Primadonna niemieckiego teatru występowała niedawno w tej samej sztuce w mojej roli, musi zatem mieć strój bogaty, gustowny— udam się zaraz do niej; jestem prawie pewna, że mi nie odmówi.

— Bóg dobry, nie trać pani nadziei, może da się to jeszcze jakoś zrobić.. I obie na pożegnanie ścisnęły sobie szczerze ręce,— panna T. wbiegła do kościoła pomodlić się chociaż chwilkę— pani E. spieszyła do domu, myśląc ciągle o losie biednej T., gdyby ją jeszcze i ta ostatnia nadzieja ominęła.— Sama nie w lepszem będąc położeniu, spieszyła do siebie, bo już wybiła godzina, gdzie zwykła dzieciom odchodzącym do szkoły i pannom pracującym w jej magazynie wydzielać śniadanie, roboty itp. Pomyślniejszym ciesząc się niegdyś bytem, pani E. przykremi okolicznościami przywiedzioną została do tego, że pracą własną i przemysłem utrzymywała dom i rodzinę dosyć liczną; a choć mozół ów, do którego nie bardzo była przywykłą, przechodził niekiedy jej siły, dziękowała Bogu z pokorą, iż w nieszczęściu znalazła jeszcze ten chociaż środek zaradczy. Zająwszy się pracą i kłopotami własnego domu, przestała wreszcie myśleć mimowoli o pannie T., gdy w godzinie obiadowej Pan E. przybyły z miasta siadając do stołu: Wiesz też kogo spotkałem, rzekł do żony, teraz na wstępie do kamienicy? Oto biedną pannę T. zapłakaną, zrozpaczoną....

— Pewnie jej się nie powiodło z panią K..! przerwała mu przerażona pani E.

— Jakto, jużbyś wiedziała o jej zakłopotaniu?

— Ach wiem, wiem wszystko niestety! spotkałam ją dziś z rana przed kościołem, znękaną, zmienioną nie do poznania— a dziś musi wystąpić; aż mi się serce krajało, że jej nie mogę dopomódz!... Ale jakże się to stało że ta ostatnia nadzieja ją zawiodła, na którą liczyła z taką pewnością?..

— Otóż mówiła mi właśnie: iż ożywiona tą nadzieją, wchodzi do przedpokoju mieszkania pani K. otwarty,— dobry znak, pomyślała w duszy, porywa za szuurek, dzwoni— nikt nie wychodzi;— dzwoni silniej, niema nikogo — szarpie wreszcie, ledwo dzwonka nie zerwie.

— A któż tam taki! woła wewnątrz piskliwy głos niewieści.

— Proszę otworzyć—ruszono kluczem wewnątrz, wychodzi panna służąca.

— Czy zastałam panią K.?

— Wczoraj właśnie wyjechała na czternaście dni na świeże powietrze.

— Może panna ma klucz od jej garderoby.

— Pani zamknęła wszystko i klucze wzięła z sobą.

Tu nogi zadrżały pod biedną panną T. i słabo jej się zrobiło, tak, że usiąść czemprędzej musiała, a po chwili zdesperowana i chora powróciła do domu, bo nie udało jej się znaleźć ani jednej istoty, która chciałaby wejść szczerze w jej przykre położenie— wśród miasta, gdzie tyle ludzi modli się codziennie po kościołach do Boga miłości, — gdzie tyle stowarzyszeń miłosiernych i prawdziwie dobroczynnych, a prócz tych wiele osób w cichości i pojedyńczo poświęcających się szczerze usługom ludzkości, wyszukujących ubogich i nieszczęśliwych którzy nie śmieją żebrać!..A jednak nie pierwszy to zaiste podobny wypadek, słyszeliśmy i czytali niestety już nie raz o smutniejszych, kończących się samobójstwem opuszczonego oziębłe od ludzi w zapasach z losem człowieka. Nie jest to wprawdzie winą stowarzyszeń istniejących, gdyż z tych każde mając swój cel i zakres odrębny, nie może zapobiegać wszelkiego rodzaju nędzom ludzkiego społeczeństwa, ale jest to nasza organiczna choroba narodowa, ze wstrętem prawie granicząca oziębłość macosza dla sztuki i wszystkiego co z nią ma stosunek.

Tam gdzie kaleki, żebracy, sieroty, starce, chorzy, niemowlęta doznają opieki i czułego starania,

gdy dziś rozpowszechniły się już po świecie stowarzyszenia opieki nad zwierzętami— u nas ubodzy artyści jakiegobądź rodzaju, nie doznają jej wcale z żadnej strony; dla nich niema udziału ni litości, jak gdyby byli zbrodniarzami! a przecież pojęły to już wszystkie oświeceńsze ludy Europy, (do których my wszędzie i zawsze liczyć się chcemy) że każdy pracownik w dziedzinie ducha, chociażby i najlichszy, zawsze dobro moralne musi mieć na celu; a gdyby prace i dążności jego, w przekonaniu znawców i najmniejszej nie miały wartości (byle nie rozszerzały złego), to przecież jako chcący pracować a nieszczęśliwy lub nieudzolniony do pracy, żyjąc w społeczeństwie chrześciańskiem, ma także prawo do jego współczucia i litości. A gdyby nawet prowadzenie się jego nie ze wszystkiem odpowiadało ścisłem zasadom katolickim, to jeszcze w duchu tej wiary nie mielibyśmy prawa bezwarunkowo go odepchnąć, bo przecież dziś istnieją wszędzie prawie instytucye dążące do poprawy zdeklarowanych już nawet zbrodniarzy i przywracające ich społeczeństwu.

— Ach to opoka prawdziwa ten N. niegodziwy! mówiła pani E. z westchnieniem, rozlewając zupę na farfurki do koła dużego stołu.

— Zwyczajnie handlarz— brzęcząca moneta to jego bóstwo, ideał; — sztuka, poezya, uczciwość, to próżne słowa, wiątr odurzający.

— A nam zawierzył przecież..

— Skorośmy mu dwa weksle wystawili, a weksel kochanie to cyrograf na osobę!

— Może przyjąłby i od niej weksel, rzekła pani E. z połyskiem radości w oku.

— Wątpię — ale być może — zresztą, gdyby mu zaproponować.

— Ja spróbuję — czy można?. zapytała pani E. męża z łagodnym uśmiechem i tą niezmordowaną gotowością służenia drugim, jaka cechuje tylko prawdziwe *służebnice Pana.*

— I owszem, ale trzeba zaraz, gdyż on odejdzie na obiad a potem będzie dla niej zapóźno. Pani E. zdawszy tym razem na męża swój urząd krajczyni, zarzuca mantylę, kapelusz, i już zbiega ze schodów i pędzi daleko na przedmieście do bióra spedycyjnego pana N. Przybywszy zastaje go jeszcze, ale już na wychodnem— z góry więc zapytuje uprzejmie, czyli nie zechciałby wydać na weksel pakietu panny T.

— Na weksel?. hm— na weksel— ja ja, być może, odrzekł kiwając głową.

— Więc biegnę po nią natychmiast, bo pan odchodzi, nieprawdaż?. a rzecz nie cierpi zwłoki..

— Pofoli, pofoli, pani tobrodziko, zawołał zatrzymując za rękę już odchodzącą panią E.,—na weksel panny T. ja nie wydam.

— To może pan Dob. nie odmówi na zaręczenie nasze?..

— Państwo ręczylibyście za nią?. hm.. najprzód na co? a potem po co?.

— Nato i poto mój panie łaskawy, że od posiadania stroju znajdującego się w tej pace, zależy los jej i jej rodziny—rzekła pani E. z lekkiem oburzeniem, którego niepodobna jej było utaić.

— Na proste sręczenie nie może być także— ale jeżeli państwo dacie weksel...

— Jakto przyjąłbyś pan trzeci?.. Wszak wczoraj dopiero dwaśmy ich wystawili za nasze własne sklepowe materyały...

— Jeżeli pani podpiszesz trzeci, wydam pakę; jeżeli nie, to niechaj sopie monarchini odpoczywa w moim składzie, dopóki się nie toczeka lepszych czasów.

— Niech pan przygotuje weksel, ja tymczasem pobiegnę po męża—za chwilkę jesteśmy z powrotem — do widzenia...

— Tylko proszę jak najspieszniej, wołał we drzwiach nieukontentowany spekulant za niknącą już w głębi ulicy panią E., bo godzina obiadowa mija... i powrócił do swego bióra, wzruszając ramionami i mrucząc pod nosem: I zjeść człowiekowi nie dadzą za ten mizerny procent! Cóż to tak wielkiego 15 od sta!—Wreszcie wyjął z biórka weksel, obejrzał starannie do okna czy nie sfałszowany, wyjął z kieszeni zegarek, położył przed sobą na stoliku, i oparłszy się plecyma o spuszczoną klapę biórka, przedsięwziął czekać z założonemi na brzuchu rękoma, obracając oba wielkie palce jeden około drugiego, pogwizdując z cicha i nogą niekiedy w takt poruszając,—w tej cierpliwej pozie czekał jak męczennik cały kwadrans! Gdy jednak indeks mniejszy godzinny stanął punkt na pierwszej, a drugi dotknął samego środka liczby 12cie, wziął kapelusz i laskę, nakazawszy zastępcy swemu, aby gdy przyjdą państwo E., obstalował ich na godzinę trzecią,—i wyszedł do sklepu mrucząc sobie znów pod nosem: Nie kłupim jeść opadniętą pyzę i wysuszonego sająca, dla jakichś tam cichych filantropij, o których zapewne i mój szpicel nie będzie wiedział, a których ja sam nie pojmuję; jeszcze może darofać im godzinkę mego miłego szlummerka! ha! ha! ha!

W pół godziny po odejściu jego, przybyli państwo E.— Zawiadomieni przez subjekta, że pan N. punkt o 3iej czekać ich będzie, wyszli z bióra, lecz obawiając się powtórnego opóźnienia, nie wracali już do siebie, ale przedsięwzięli przechadzając się po wałach, oczekiwać już w tej stronie uderzenia przeznaczonej godziny. Pani E. niepokoiła się w duszy i każda minuta stawała się

dla niej godziną, bo panien przy robocie i dzieci w domu odbiegła bez dozoru.

Pan E. szedł obok z zwieszoną głową, rozmyślając czyli szał, który serca ich ogarnął, w ich położeniu nie równa się z waryacyą?.. Wczoraj podpisać dwa weksle na śmierć lub życie w własnym interesie.... dziś dobijać się prawie rozmyślnie wystawieniem trzeciego w cudzej sprawie?.. Niechże się debit nie powiedzie i my wraz z panną T. osiędziem na koszu....Właśnie uwagi te miał powierzyć swej żonie, w nadziei, że po zimniejszem obliczeniu rzeczy, może odstąpi sama od szlachetnego lecz oraz i niebezpiecznego zamiaru swego — gdy z gmachu teatralnego wybiegła młoda panienka spłakana, i rozmawiając sama z sobą, puściła się jak błędna przez środek alei, nie postrzegłszy nawet mijających ją państwa E.

— A gdzie to tak spieszno panno Maryo? zachodząc jej drogę, zapytał pan E.

— Do apteki—odrzekła nie zatrzymując się nawet zapytana— siostra moja powróciwszy do domu po tylu próżnych wysileniach, dostała okropnych spazmów; matka patrząc na nią a nie mogąc udzielić jej pociechy, wreszcie i z obawy o jej życie, zasłabła także — oto są recepty przez poczciwego lekarza M. przepisane *gratis*, dla obu chorych— a to, wskazując na złotą obrączkę nadzianą na palec, ślubna obrączka mej matki, którą mam zastawić w aptece...

Państwo E. odprowadzili jeszcze kilkanaście kroków stroskaną Maryą, pocieszając ją i dodając otuchy; lecz gdy na wieży ratusznej zegar począł wybijać godzinę 3cią, pożegnali ją i pospieszyli na przedmieście do bióra spedycyjnego pana N. Tu wchodząc zastali go już bawiącego się dowcipnemi sztuczkami ulubionego szpicelka *RZ.* Obaj nakarmieni przysmakami, wyspani, zimną kąpielą odświeżeni, wyszczotkowani i zapiżmowani olejkami, z dziwną wesołością i dobrym humorem uwielbiali się wzajemnie, wpatrując się jeden w drugiego.

Za wnijściem państwa E., po przywitaniu i zwyczajnych grzecznościach ze stron obu, i ścisłem nareszcie dopełnieniu wszelkich formuł wexlowych, nim tragarzowi najętemu wydano ze składu wiadomą paczkę, pan N. na domiar dobrego humoru zabawił gratis państwa E., okazaniem im kilku jeszcze dowodów sprytności nieocenionego Erzeta. Pani E. złożywszy na męża korzystanie z tego widowiska, słysząc dudnienie wózka wyjeżdżającego z dziedzińca, pobiegła za nim, rozkazując jechać spiesznie do teatru. Tu przed samym progiem napotkawszy znowu młodą Maryą, wracającą właśnie z apteki, opowiedziała jej wszystko na prędce, oddała pakę, a sama nie mając już czasu do stracenia, pobiegła wprost do siebie.

Że sam widok lekarstwa wniesionego do pokoju chorej wraz z świeżym i ślicznym strojem królowej, uzdrowił tamtę już w połowie, a zarazem przywrócił spokój stroskanej rodziny, łatwo się domyśleć.— Sercu skołatanemu nakazano milczenie, przycisnąwszy je sznurówką — nerwy zdrażnione uspokojono podwójną dozą kropli przepisanych—bladość lica tym razem w zieloność wpadającą, pokryły róż i bielidła — i panna Emilia T. po tak wysilająco i rozpaczliwie spędzonym dniu, z uderzeniem 7ej godziny wieczór, z dumą na czole strojnem w dyadem brylantowy, z uśmiechem łaskawości na ustach — w szacie błyszczącej od złota i kamieni — słowem w całym majestacie pysznej monarchini, wystąpiła przed licznie zebraną publiką, by ją bawić i zarazem przyczynić się do jej umoralnienia, podniesienia i oświaty. — Ta zaś publiczność, która niby grę jej oceniając, z uniesieniem w poruszeniach a marmurową obojętnością na twarzach, obsypywała ją tego wieczora rzęsistemi oklaskami— jutro, (gdyby Emilia dziś była skonała z rozpaczy) przechodziłaby koło wystawionego przed drzwiami domu wieka jej trumny, rzuciwszy zimno okiem na kartę z napisem, dla wyczytania z niej nie powodu śmierci, ale nazwiska, a jeszcze więcej *lat* zmarłej.

Pani E. powróciwszy do siebie, wśród własnych kłopotów i dolegliwości, znajdowała ulgę w wspomnieniu spełnionego szlachetnego czynu.

W kilka zaś dni po tem wydarzeniu, królewska jej dłużniczka odniosla jej weksel przedarty z jej podpisem, z najczulszą podzięką i ze łzą wdzięczności i szczerego uwielbienia w sercu.

POWRÓT DO KRAJU SYNA TUŁACZA.

Czem dla pielgrzyma jest powrót do kraju
Może wy dziatki nie wiecie?...
Długą znużony wędrówką po świecie
Staje u brzegu ruczaju.
Gasi pragnienie już wodą ojczystą,
Serce napawa radością przeczystą.

„Witam cię kraju!“ zawoła z zapałem,
„Witam was bratnie oblicza!
„Sławo dalekich okolic zwodnicza,
„Gonić za tobą przestałem.
„Wracam ochoczo pod wiejskie poddasze,
„Cenić nauczon i kochać co nasze.“

Milszeż wędrowcy od swojskiej ustroni
Morza zdradliwego fale?

Czy na odludnej gdy on stanie skale
Łzy czasami nie uroni?
Iż: jak to słońce, co tam skwarno piecze,
Życie w mozołach i tęsknocie wlecze?

Ach! jego przodków choć skromniejsze ślady,
Słodszem witają go tchnieniem,
Niż napełniały go niegdyś zdumieniem
Obcych mu ludów posady;
Pała mu w sercu uczucie gorętsze,
Bo co rodzinne, to sercu najświętsze!

1861 r. *Karol syn Karola.*

Wzmianka historyczna

o panu Andrzeju Dubrawskim,

sędzi grodzkim żytomirskim.

(Dokończenie.)

Pan Andrzej Dubrawski nakoniec mianowany został sędzią grodzkim żytomirskim. Porzucił swą gorącą kaszę w Zubowszczyznie, bo już i czasy uspokajać się zaczęły. Jął się sądownie położyć stanowczy koniec wszelkim bezprawiom, nieporządkom i rabunkom w kraju, które się rozgęściły nie pomału. Rząd bezsiluy wzywał komendy obcej, a pan Dubrawski powagą prawa, surowością względną a sprawiedliwą, chciał uspokoić Ukrainę i dopiął swych celów. Nigdy nie żądał zemsty i śmierci, nigdy nie szukał wojennych pomocy, a jednak najwięcej kraj od zalewu tej krwawicy osłonił; jakby iskrą elektryczną strachem przeraził, i do spokojnego gospodarstwa i czynnej pracy rozhulałych i rozochoconych napędził.

Miał za towarzyszów dwóch podsędków, pana Kalityńskiego i Drożewskiego. Przez czas mieszkania w Żytomierzu pan Andrzej Dubrawski więcej był towarzyskim, rad wszędzie bywał i przyjmował u siebie, już koczem zaczął jeździć nie konno. Od ożenienia swego bardzo złagodniał. Już nietylko na Polesie zabiegał, ale co więcej, jeśli na wieś jechał, przebywał w Fredrowie.

Za jego sądów nastąpiła sprawa kryminalna żyda Moszka. Bogaty arędarz przekonanym został o związki z hajdamakami. Umiał ich zawsze wynaleźć w najdalszych stronach, dużo im płacił, potem w różne rozsyłał miejsca, rabunki wyznaczał, słowem, całym bardzo rozgałęzionym rozbojem i kradzieżą sam władał i rządził. Rozdzielał łupy między zbójców i wielu żydów. Ten związek taki zgubny odkrytym został. Instygatorem był pan Kirkor, który mocno, stanowczo o ukaranie gardłem Moszka nastawał. Obrońcą był pan Dunajewski dla żyda przydany. Całe żydowstwo było niezmiernie poruszone, nie było środków jakichby się nie podjęli. Używali najznaczniejszych instancyj, milionyby złożyli. Żydzi nie widzieli występków i zbrodni Moszka, przejęli się tylko okropnością jego nieszczęścia, z którego ratować wszystkiemi pragnęli go siłami. Zbierali się w liczne tłumy, wydawali głośne jęki i płacze. Nie było jednak pod słońcem siły, którąby mogła poruszyć, zmienić, wpłynąć na postanowienie pana Andrzeja Dubrawskiego, kiedy zwłaszcza już się przekonał, że żyd był prawdziwym i wieloletnim zbrodniarzem. Długo przeto ciągnęła się bardzo indagacya i sprawa; chociaż pan Kirkor od początku nastawał mocno, ale Dubrawski ociągał się i wahał z wyrokiem; jak się raz przekonał, już nic nie mogło ocalić winowajcy. Moszko tedy przez kata był ścięty.— Prawdziwie sądny dzień był w Żytomierzu. Żydzi zbierali się tłumnie, płakali, krzyczeli: „Pan Kie„ryk zawziął się na naszego poczciwego Moszka; „pan Dunajce, co to z wielkim nosem po Żyto„mierzu chodzi, co miał bronić, pogodził się z p. „Kierykiem. Pan Dubrawski kazał zabić naszego „Moszkę. Krew żydowska! krew żydowska! roz„lała się po piasku!!!“ Żydzi zaprzysięgli nienawiść dla pana Dubrawskiego i bardzo mu szkodzili wszędzie.

Starostą żytomirskim był wówczas pan Iliński, ojciec jenerała adjutanta i senatora z Romanowa. Do niego rzeczywiście sądownictwo grodzkie należało. W jego przytomności sędziowie mieli tylko głos doradczy. Ale że starosta nigdy nie mieszkał w Żytomierzu, przeto sądownictwo i urząd grodzki był w ręku pana Dubrawskiego. Raz przybył pan Iliński i zrobił wjazd tryumfalny. Wspaniałe dawał śniadanie dla kolegów i obywateli, nawet i dla palestry. Ze śniadania wyruszył na sesyą. Wnosili sprawę adwokaci, popisując się z induktami i replikami. Ale po śniadaniu i węgierskiem winie, prezydujący i sędziowie usnęli. Pan starosta obudziwszy się zapytał o zdanie; gdy mu nie umieli odpowiedzieć, oburzył się i przykre robił panom podsędkom wymówki. Wyjechał z Żytomierza i przysłał na swoje miejsce podstarostą p. Józefa Morzkowskiego.

Pan Józef Morzkowski (nazywano go *novus homo)* żadnej posiadłości w województwie kijowskiem nie miał, wybranym był jednak przedtem z Podlasia, jako deputat na trybunał lubelski. Człowiek bardzo zręczny, obrotny, w interesach bez granic biegły, znający ludzi, ale nie skrupulat; współcześni go wcale nie szanowali. Niewiem o ile to jest prawdziwem, mówiono wówczas, że umknął z Lublina lękając się procesu o źle spełniane urzędowanie, tudzież jakoby miał coś nabroić przeciw prawu *). Józef Morzkowski odtąd osiadł

*) Pan Ochocki w pamiętnikach swoich wysoko go ceni; ale panu Ochockiemu wierzyć nie można. Człowiek ten ułu-

w Żytomierzu, objął sądy grodzkie i już wpływy miał coraz rosnące na wszelkie stosunki i interesa kijowskie. W czasie kiedy nastąpiły przemiany, ogromne bogactwa zebrał, miał bowiem wielką wziętość u Namiestnika cesarskiego i Gubernatorów. Nieświadomi rzeczy urzędnicy w nowo zabranym kraju, wszystko przez Morzkowskiego wiedzieli. Morzkowski torował im drogę; kogo zamyślił obedrzeć, wziął ile chciał dla gubernatorów i dla siebie. Wzniósł się przeto w bogactwa i w przewagę. Wiarę miał u rządu zupełną, a tyle rozumu, tyle wpływów, że mimowolnie, wbrew własnego przekonania i instynktu, współobywatele oprzeć się nie mogli jego przewadze i chytrości szatańskiej. Wynosili go na coraz wyższe urzędy, zawsze tworzyli wśród siebie partyą utrzymujących jego stronę, wybierali na polubownego sędziego, na opiekuna zawiłych interesów. On zawsze umiał wszystkiemu zaradzić, z najtrudniejszego wydźwignął położenia, a i sam nieskończenie skorzystał. Nikt nie śmiał na niego się poskarżyć. Żaden urząd przeciw niemu manifestu nie przyjął. Wyższe juryzdykcye potwierdzały wciąż choćby najniesprawiedliwsze jego dekreta. Tym sposobem coraz on większe dobra nabywał, w najpiękniejszych miejscach kijowskiego województwa; stał się jednem słowem magnatem. Ciągle się rozwodził: jednę żonę rzucał, a drugą zaraz śliczną panienkę zaślubiał. Do tego wpływu przyszedł Józef Morzkowski za staraniem Ilińskiego, który go pierwszy nieznanego człowieka do Żytomierza wprowadził. Takie to miało skutki śniadanie Ilińskiego i zaśnienie podsędków. Owoż naprawiciel sądu grodzkiego żytomirskiego!

Pan Andrzej Dubrawski poznał zaraz człowieka i niechciał w Żytomierzu z nim zasiadać. Natychmiast zasłużone miejsce opuścił i postanowił wrócić do ulubionej Zubowszczyzny. Miejsce opróżnione zajął syn nowego wieku, Józef Morzkowski. Zetknęli się z sobą na chwilę, dla wykreślenia jakoby różnicy dwóch epok, które reprezentowali obaj ci ludzie tylé niepodobni do siebie. Po przyjeździe Morzkowskiego do Żytomierza, Dubrawski zaraz na wieś wyjechał. Że już zupełnie hajdamaczyzna, jak ją zwano, ustała, w Zubowszczyznie nie gotowano gorącej kaszy i o panu Andrzeju Dubrawskim zapomniano.

---

dną formą dość ponętnych pamiętników, znalazł wiarę, ale nie miał szacunku u ludzi zacnych; faktorował, łapał pieniądze, zkąd mógł, bez skrupułów. Został niestety! historykiem ostatnich czasów. Jako ten, który ma żółtaczkę, żółto mu w oczach, tak on wszędzie przedajność i rozpustę widział, bo sam był przedajny i rozwiozły. Pisał raz do pana Dąbrowskiego prezesa, prosząc o pożyczenie sreber dla pana Giżyckiego. Natychmiast mu je dano; a pan Ochocki srebra sprzedał.

Nastąpił w 1793 r. rozbiór kraju. Nowo zabrane prowincye były pod rządem wojennym. Nastąpiły wojsk konsystujących w Ukrainie rozbrojenia. Wojsko polskie pomimo tylu błędów sejmu i konfederacyi, w obec odstępstw, złej wiary, słabości króla, wojsko mówię samo jedno najchlubniej, najdostojniej skończyło swój zawód. Nie złożyło broni, ale ją podniosło. Stanął na czele tych działań Madaliński, poszedł za nim Kościuszko, Dąbrowski. Powszechny zapał w tych ostatnich chwilach ożywił serca, rozniecił wojnę narodową, starł plamę, jaką konfederacya targowicka nam zostawiła. W tej wojnie tak śmiałej i tak serdecznie narodowej, zwyciężonym został naród przez koalicyą trzech państw, z których poszczegółowo każde od niego było silniejszem. Wojsko się nie poddało, nie złożyło broni, nie oddało znaków orła i pogoni, lecz pod wodzą Dąbrowskiego dopotąd walczyło, dopokąd nie wniosło do wywalczonej ziemi w 1807 r. zwycięzkich orłów. W Ukrainie, chociaż tak haniebny Lubowidzki dał przykład, jednak Wyszkowskiego i Łaźnińskiego brygady, przebiły się przez nieprzyjacielskie wojska i połączyły się z armią narodową w Warszawie. Pułk polnej buławy nieśmiertelnego Kopcia, chociaż mniejszy liczbą, z Owrucza wśród bohaterskich bitew i zwycięstw przedarł się aż do stolicy.

Wtedy to najbogatsi właściciele starożytnych polskich domów w owruckiem i żytomirskiem pochwytani zostali i powysyłani na Sybir, skonfiskowano im oraz majątki. Nie było żadnej o tem komisyi i sądu. Schwytani i więzieni usłyszeli dekret bez żadnych objaśnień ani zapytań. Wynaleziono podobno w korespondencyach listę dobrze myślących i życzliwych, na których powstanie Kościuszko i Kopeć w jego imieniu rachował. Kopeć tego powstania rozwinąć nie mógł tak rychło, i niechcąc narażać kraju na nieszczęście, pospieszył powiększyć nieliczne siły wojenne w Warszawie. Wysłanie na Sybir i konfiskata majątków, jednocześnie dwie kary, były szczególnie zastósowane do ludzi znamienitszych i możniejszych, dla dania przykładu i przerażenia nowych poddanych. Wzięci do Żytomierza i odesłani na Sybir byli: podkomorzy Niemierzyc dziedzic klucza olewskiego i dóbr wielkich na Ukrainie, Bohusz właściciel Uszomierza i innych kluczów, Oskierko, który przeszło siedm milionów fortuny miał, nareszcie pan Andrzej Dubrawski.

Zaraz po powstaniu Kościuszki, rząd wojenny (jeszcze bowiem cywilny urządzonym nie był), rozkazał wszelką broń właścicielom, szlachcie i ludziom wszystkich klas rządowi oddać. P. Andrzej Dubrawski miał z przodków swoich broń starożytną piękną, oddał ją poufnym sługom, któ-

rzy ją zakopali i na znak przykryli stertą siana. Żydzi którzy oddawna żądali się pomścić na panu Dubrawskim, donieśli o tem wszystkiem rządowi. Natychmiast broń znaleziono, a biorąc to za przygotowanie do powstania, dom zbrojnie otoczono i Dubrawskiego do Żytomierza wywieziono. W chwili jego aresztowania, oficerowie i urzędnicy zrabowali srebra i rozliczne kosztowności. Miała być u niego hetmańska buława brylantami sadzona, szacowana w dziale familijnym 200,000 zpol. i od kilku pokoleń będąca w domu Dubrawskich. Oficer jeden moskiewski sprzedał ją za 30 dukatów żydowi w Berdyczowie, który się tą kosztownością wzbogacił. Po kim tę buławę miał Dubrawski? i jak ją otrzymał? niewiemy; ale relacyą o tem wzięliśmy od wiarogodnego człowieka pana I. R. który był z siostrzenicą pani Dubrawskiej żonatym.

Pan Dubrawski okazał rzadką spokojność ducha, męstwo i zgodzenie się z wolą Boga nieporównane. Pani Dubrawska mając z oszczędności zachowanych 3,000 dukatów u Ks. Bernardynów w Żytomierzu, prosiła męża, aby je mogła oddać na jego ratunek i uwolnienie. Za nic pozwolić nie chciał mówiąc: „Bóg mi dał, Bóg mi odbiera, niech się dzieje Jego wola święta. Z czego WM. pani żyć będziesz? z czego się utrzymasz! Ja nic nie żądam, nic nie potrzebuję, majątek odbiorą i to co dajesz, wezmą.“ Był zupełnie spokojny, o środkach żadnych ratunku i słyszeć nie chciał, mówiąc: „Niech się dzieje wola Boża!“ Jak był nieubłaganym w wyrokach sprawiedliwości dla drugich, takim był i dla siebie. Czuł i pojmował że to jest wyrok boski dla wypróbowania jego cierpliwości i wiary. Okazał się być przywiązanym li do Boga i do woli jego. Chociaż tak ogromną miał własność i niegdyś tak wielką władzę, ale ponieważ gotowy był wszystko opuścić, *miał* tedy wedle słów Chrystusa Pana, *jakoby nie mając*.

Wysłany na Sybir w najdalsze strony ku Kamczatce, oddał się myśliwstwu z niepospolitą siłą i zręcznością, bo był w tem bardzo dzielny i wprawny. Miał wówczas lat 70 przeszło, bo w czasie rzezi na lat 30 przedtem, nie tak już był bardzo młody. Na wygnaniu tam swojem, zawsze wielką ilość skór zwierzęcych, nauczywszy się wprzód je wyprawiać, sprzedawał. Dorobił się tym sposobem pewnej sumy, dość nawet znacznej.

Dobra Bohusza, Oskierki, Dubrawskiego, Niemierzyca, rozdane zostały jenerałom Kutuzuwowi, Protasowowi, Borowskiemu. Pani Dubrawska sumkę swoją oddała jednemu z ziomków, nowemu senatorowi jadącemu do Petersburga na wyroki, dla ratowania męża. Ale tak się stało jak p. Dubrawski mówił: sumka bez skutków żadnych przepadła, a pani Dubrawska została się bez funduszów. Jakaż to była osobliwa delikatność owych czasów! Rządca po zaaresztowaniu pana, z kasy znaczną przynosił sumę pani Dubrawskiej, ale ona nie chciała jej przyjąć potajemnie. Kutuzów dał jej w dożywocie kilka osad, też samę Zubowszczyznę. P. Bohuszowa w czasie tego prześladowania dała poświęcenia się przykład, pojechała za mężem na Syberyą i tam umarła. Wkrótce potem i Oskierko skończył życie. Wstąpienie na tron cesarza Pawła, oswobodziło tych dostojnych wygnańców. Fortun jednak nie powrócono. Tylko śmierć p. Bohuszowej tyle przejęła cesarza Pawła współczuciem, że majątek rodzicielski dla małoletniej dzieciny oddał.

Pan Andrzej Dubrawski niespodziewanie się zjawił w Zubowszczyznie. Starzec już białobrody, ale woli żelaznej. Siłą męża w pracy i cierpieniach tyle rozwiniętą, tyle niepospolitą i niezwyczajną, zadziwiał wszystkich w okolicy. Zmiana losu tak wyraźna i wielka wszystkich przerażała, oprócz samego pana Dubrawskiego, który był zawżdy jednakim. W Zubowszczyznie, w dożywotnim dworku z łaski danym, a dziedzictwie przodków swoich, nie mógł mieszkać, bo nie chciał być tej łaski uczestnikiem, chociaż żonę tyle poważał. Jeszcze zastał jednę wioskę koło Mozyrza, o której nie wiedziano, zapomniano ją skonfiskować. Oddał ją zaraz jako dziedziczną wedle prawa swym krewnym. Kapitały też poufnie rozdane, nie znane rządowi, skonfiskowane nie były. Nie upominał się o nie po swym powrócie Dubrawski. Smutna to jednak, że sami dłużnicy nie spieszyli się z oddaniem, i owszem niektórzy skorzystali z jego delikatności. Jeden tylko obywatel z pod Wilna, dowiedziawszy się o powrocie Dubrawskiego, napisał uwiadamiając, że jest winnym i gotowym do wypłaty. Tę jednę tylko sumę pan Andrzej odebrał i zaraz żonie swej oddał. Tak rozporządziwszy za życia fortunkę swoją, nie zostawił nic sobie prócz tego, co się w Syberyi dorobił. Zaczął się odtąd przygotowywać do śmierci; a niechcąc w starym swym mieszkać domu i mieć udział w łasce księcia Kutuzowa, wśród własnej rodziny musiał się tułać. Rychło też umarł.

Słyszałem wiele szczegółów o panu Andrzeju Dubrawskim od osób, które go w swojem dzieciństwie widziały zaraz po powrocie z wygnania, w domu pana Jana Chojeckiego. Po sybirsku odziany i z brodą, mówił dużo, i jako miał we zwyczaju, wśród przyjaciół wylewał swą duszę i myśl potężną. Wrażenie na całe życie zostało w dzieciach, które usnąć nie mogły a patrzyły i słuchały tego dziwnego i niepospolitego starca. Szkoda, że zapamiętać i zrozumieć nawet treści mowy jego nie były jeszcze w stanie. Cóż to za budujący widok! widok człowieka, co tak mężnie się oparł

pokusom własności, co miał serce nie przywiązane do ziemi, do bogactw, bo je z radością i ochotą opuścił— a w późnej starości resztę nawet fortuny rozdzielił i rozdał sam dobrowolnie. Zmienność losów ludzkich, niestałość naszego powodzenia, rozbiły się o granit jego ducha! Tak to wolę boską i jej uległość umiał pojąć i spełnić czynem! Słowa ludzi takich gdyby je umiano zachować wiernie, byłyby zasiłkiem ducha na pokolenia. Owóż przeciwnie się dzieje na świecie: ci którzy w sobie najmniej mają wątka, którzy się niczego swem życiem nie dorobili, napełniają cały kraj swym rozgłosem, a starych ojców, prawych sług bożych, wiernych synów kościoła i ojczyzny, myśli tyle jędrne i żywotne, na ich ustach niejako zamarły ze skonem.

H. W. N.

Z listu z Warszawy.

Warszawa 14 marca.

Otwarcie kościołów i konsekracya sprofanowanej Fary i Bernardyńskiej świątyni były niemniej przejmującem jak pełnem dramatyczności zdarzeniem. Że się nie praktykował podobny wypadek w kraju naszym od czasów Bolesława Śmiałego, i że nie spodziewam się, aby się kiedy jeszcze wydarzył, przeto jako niesłychaną u nas osobliwość, opiszę tu jak się owa ceremonia odbyła.*)

We czwartek 13 lutego ks. arcybiskup przybył do Farnego kościoła, a biskup Plater do Bernardynów, i w tenże sam sposób ceremonią *rekoncyliacyi* czyli oczyszczenia tych świątyń odbyli. — Arcybiskup przybywszy do kościoła Farnego w dzień ten o godzinie 9 rano, uczyniwszy potrzebne rozporządzenia i wziąwszy na siebie pontyfikalny strój biskupa dyecezyi warszawskiej, to jest kapę i infułę koloru fioletowego, udał się z wnętrza kościoła bocznemi drzwiami, poprzedzony klerem, w procesyi do zamkniętych drzwi wielkich kościoła i stanął przed niemi na ulicy, wzywając Ducha ś., aby pobłogosławił tak wielkiemu dziełu.

Duchowieństwo odmówiło klęcząc na ulicy litanią do Wszystkich Świętych, poczem arcybiskup poświęciwszy wodę i sól i zmięszawszy je razem, (wodę jako znak zmycia grzechów, sól jako pierwiastek zachowujący od zepsucia) obchodził w koło świątynię kropiąc jej ściany zewnętrzne i modląc się, aby Bóg raczył przyjąć na nowo w opiekę ten przybytek, dał jedność i pokój dla wszystkich którzy tu zgromadzać się będą, i pobłogosławić raczył wszystkiemu, cokolwiek w tej świątyni pobłogosławione będzie. Duchowieństwo śpiewało przez ten czas psalm: Pokrop mnie Panie hyzopem etc.— Następnie arcybiskup uderzył pastorałem we drzwi kościelne ciągle zamknięte, mówiąc: „*Otwórzcie książęta bramy wasze i podnieście się bramy wieczne a wnijdzie król chwały!* i gdy dyakon w kościele będący zapytał wedle rytuału: *Któryż to jest król chwały?* arcybiskup odpowiedział stósownie do obrządku wraz z całem duchowieństwem: „*Pan zastępów, ten ci jest król chwały. — Otwórzcie, otwórzcie, otwórzcie!*“ i po danym rozkazie otworzenia, przez uderzenie pastorałem we drzwi, uczynił nim znak krzyża na progu mówiąc: „*Oto znak krzyża, niechaj znikną wszelkie potwory.*“—Na te słowa drzwi się otworzyły, jak kiedyś otworzą się nam bramy nieba mocą zwycięzkiego krzyża.

Po otworzeniu drzwi wielkich, arcybiskup wraz z duchowieństwem wszedł do kościoła, zaintonował *Veni Creator*, po którego ukończeniu klęknął i odmówił z klerem litanią do Wszystkich Świętych. Po skończonych modlitwach kler śpiewał kantyki a arcybiskup wraz z starszemi z duchowieństwa leżąc krzyżem na ziemi czynił Bogu ofiarę na przebłaganie Majestatu Jego.

Po tej rozczulającej ceremonii, arcybiskup poświęciwszy *wodę* i *sól* wyrażające chrzest, *popiół* oznaczający pokutę, *wino* znaczące łaskę i moc wlewającą się przez chrzest i sakrament pokuty, i zmięszawszy te pierwiastki z sobą, kropił niemi kościół, obchodząc go wewnątrz w koło na znak, iż przejednanie za grzechy, oczyszczeniem tylko pozyskane być może. — Obchodząc raz pierwszy kościół wewnątrz w koło, pokropił ściany — za drugą razą kropił naczynia kościelne i poświęcał ołtarze—za trzecią zaś razą kropił podłogę, — a w końcu obecnych ludzi, modląc się za każdą razą o błogosławieństwo nieba nad tym przybytkiem.

Jednocześnie z Farą i Bernardynami otwarte zostały i inne parafialne kościoły— lud je nawiedzać począł, i przez kilka godzin tego poranku odbywały się prawdziwie Wielko-piątkowe z kościoła do kościoła obchody.....

.....Warszawa zawsze czynna i dobroczynna— mnożą się w niej zakłady, wydawnictwa, wsparcia, pomoce dla różnych nędz i potrzeb ludzkich—zakładają się bezpłatne dla rzemieślników czytelnie, kasy groszowe, reformuje się wszystko, co moralnej potrzebuje poprawy. Panie przychodząc w pomoc płatnym ochroniarkom, uczą dzieci w ochronach. Arcybiskup zakłada dom przytułku dla sierót, opracowano też świeżo plan dobroczynny dla zgromadzenia, któreby niosło pomoc moralną do kryminalnych więzień, o czem jeszcze nikt nie

---

*) Opisy tej ceremonii zamieściły już po części inne dzienniki, a mianowicie *Czas* krakowski, — sądzimy jednak, że Czytelnicy nasi nie pogniewają się, że i w naszem piśmie znajdą krótki jej obrazek, przez naocznego świadka skreślony. *P. R.*

pomyślał dotąd.— Opiszę to wszystko w szczegółach w następnej przesyłce.

Ustęp

z podróży Alfreda de Valois do Mexyku i Guatemali.

Wypłynąwszy z Hawru, stanął nasz okręt po sześćdziesięciosześciodniowej podróży w niebezpiecznej morskiej ostoi przed miastem Veracruz. Brzegi morza w tem miejscu przedstawiają niepocieszny widok gołych wydmuchów piasku, tak, iż oko z upodobaniem zwraca się ku odległej wyspie de Los Sacrificios (ofiar luzdkich), gdzie nęci go przynajmniej cokolwiek świeżej roślinności. U podnóża wydmuchów piaszczystych nie widać nic, okrom tu i owdzie rosnących kolczatych kaktusów; w oddaleniu lśni się w przeźroczu rumianej atmosfery pasmo Kordyllerów z dwoma śnieżystemi szczytami, zwanemi *Coffre de Perote* i *Pic de Orizaba*. Ochroną miasta Veracruz od strony morza są nietyle mury i bastyony oraz wznosząca się w tem miejscu twierdza Ulloa, ile raczej skały podmorskie koralowe, które nie dozwalają przystępu z tej strony.

Fizyonomia miasta samego odpowiada zupełnie okolicy wśród której ono leży, i przypomina miasta syryjskie, tak ociężałością budowli jak niechlujstwem, którego tam wszędzie pełno. Wybornie uzupełniają ten obraz tysiące ptaków zwanych *Zopilotes* t. j. *sępy ścierwowe*, które albo siedzą po wszystkich wznioślejszych punktach miasta, albo komicznemi skoki uwijają się po ulicach, ledwo się przechodniom z drogi ustępując, tak jak gdyby im wiadomą była ta okoliczność: iż życia ich strzeże wyraźny zakaz zabijania ich, pod karą 25 piastrów. Ulice tego wielkiego targowiska handlowego są pod sznur wyciągnięte; domy wszystkie o płaskich dachach, a środkowe okna ich zaopatrzone balkonem niezgrabnej roboty i wyłożone stiukiem. Na tych balkonach przykrytych markizami, przepędzają damy mexykańskie większą część dnia, paląc cygara i chłodząc się wachlarzami; wreszcie przyglądając się przechodniom a nawet cesząc się i fryzując. Na szerokich chodnikach z piaskowca koralowego można zastać o każdej porze dnia śpiących ludzi niższej klasy, których nawet skwarne promienie słońca ztamtąd spłoszyć nie mogą. Wspaniałym gmachem jeszcze z czasów królewskich jest katedra, aczkolwiek, lub raczej ponieważ jest zbudowaną bardziej na podobieństwo meczetu, niżeli na podobieństwo kościoła chrześciańskiego.

Wysmukłe słupy, nadobne parapety ażurowej roboty o kształtach trójlistnych, rozety saraceńskie, wysokie ostrołukowe okna, naśladowania wzorów koronkowych na kamieniu i fantastyczne ozdoby gzymsów, wszystko przypominało nam najlepsze utwory arabskiego budownictwa. Wszędzie widać było tylko twarze o cerze chorowitej, a osobliwie rezydenci europejscy wydawali się nam podobnymi do straszydeł, które dla tego tylko ustrzegły się dotychczas śmierci, aby powtórnie umrzeć.

Miałem sposobność odwiedzenia dwu towarzystw; a najpierw byłem na balu u jednego bogatego bankiera. Zbytku w sprzętach domowych tam w ogólności niewiele widać, gdyż gorąco zabrania użycia wszelkiego mebla, któryby przeciąg powietrza tamował. — Damy mexykańskie posiadają wprawdzie wiele wdzięków; mają one prześliczną drobną nóżkę, łagodne tęskliwe oczy, koralowe usta, długie, miękkie jak jedwab czarne włosy, kibić wysmukłą; ale wszelako brakuje im czegoś, coby wszystkie owe zalety ożywiać i podnosić powinno. Przytem nie wyjmują cygara z ust prawie nigdy.— Bal w Veracruz jest dla cudzoziemca raczej przykrością niż przyjemnością. Albowiem upał nie dozwala prawie tańczyć, a kto przytem musi widzieć pot spływający strumieniem z czoła i szyi swojej tancerki, ten rozumie się do reszty traci ochotę. Mało też między tamecznymi mężczyznami jest miłośników tańca; większa część ich woli siedzieć przy stolikach i zabawiać się piekielną grą, zostawiając kobietom wolność nudzenia się na własną rękę. Jedna okoliczność zresztą znamionuje wyższe mexykańskie towarzystwo, to jest: iż brakuje mu wszelkiego poczucia odrębności narodowej. Owszem, wszyscy chcą ile możności uchodzić za Europejczyków.

Sprzeczny obraz z tem malowidłem wyższego społeczeństwa, przedstawił się nam na weselu w jednej z ciemnych ulic w pobliżu przystani morskiej.— Kilka smolaków paliło się przy drzwiach na znak godów weselnych, a brzęk gitar słychać było z pierwszego piętra na ulicę. U wnijścia na wschody wyszła na spotkanie nasze dziewczyna jedenastoletnia z chłopcem czternastoletnim, podając nam na srebrnym talerzu po kawałku placka i po szklance wina. Wypiwszy wino i uściskawszy dziewczynę, weszliśmy do sali, gdzie znajdowało się około pięćdziesięciu osób płci obojej. Mężczyźni mieli na sobie tylko bufiaste koszule, spodnie bawełniane, trzewiki ze skóry jeleniej i kapelusze z plecionego łyka z szerokiemi skrzydłami. Odzienie kobiet składało się z koszuli przeźroczystej, haftowanej jedwabiem we pstre wzory i ozdobionej koronkami na piersiach. Poniżej zaś stanu mocno ściśniętego, spływała aż na ziemię tak długa spodnica, iż białych i czerwonych trzewików atłasowych małoco widzieć można było. Było to we-

sele tak nazwanych *Ladinosów* to jest *Kreolów,* (krwi przez połowę mięszanej); lecz napróżno szukaliśmy nowożeńców, ażeśmy się dowiedzieli dopiero na nasze zapytanie: iż ów chłopiec i owa dziewczyna z plackiem i winem, są tem świeżo połączonem stadłem.

Rzecz ta zdawała nam się prawie niepodobną do uwierzenia, a wreszcie szkaradną, gdyśmy o jej prawdziwości już wątpić nie mogli. Widzieliśmy też wkrótce potem *pannę młodą,* zajadającą w najlepsze cukierki i zabawiającą się lalką; *pana młodego* zaś, rachującego w chwili o poczynku srebrne monety, któremi były naszywane jego spodnie.

Ladinoski, lubo mają bardzo śniadą cerę, nie są bez wdzięku. Odznaczają się osobliwie wysmukłym wzrostem, wielkiemi czarnemi oczami, białością zębów i drobniuchną nóżką.

Ladinosowie zaś są cery od nich o wiele ciemniejszej, postaci podsadkowatej; przytem szpecą ich obrzmiałe wargi i grube włosy.

Twierdza Ulloa uchodziła przez długi czas za niezdobytą, a to z powodu: iż ją morze ze wszystkich czterech stron oblewa; że jej prochownie znajdują się pod zasłoną sklepień kazamatowych; wreszcie iż niczego nie zaniedbano, aby o ile możności wzmocnić jej warownie. Obecnie fortyfikacye te są już w stanie upadku, a wieża na której znajduje się latarnia morska, zaplugawiona jest okropnie; mianowicie wschody ciemne, wiodące na jej szczyt, pełne są nieczystości i rażą najprzykrzejszym odorem. Miasto Veracruz możnaby rzeczywiście niewielkim kosztem uczynić niezdobytem; okoliczność zaś: iż się w tym względzie nic nie robi, dowodzi tylko najzupełniejszego niedbalstwa Mexykanów. Veracruz jest bowiem jedynym portem tego państwa na morzu Atlantyckiem, jedyną fórtą dla handlu z Europą. W dzisiejszym stanie rzeczy atoli stanowi obronę tego miasta tylko niebezpieczne dno morza w jego pobliżu, bo pełne skał ukrytych. Nie mniejszą wszakże obroną są zapewne panujące tutaj dwie choroby, mianowicie tak nazwane „*Vomito negro*" (czarne wymioty) i żółta gorączka.

Chciałem się dostać przez miasto Mexyko do krajów Guatemali; lecz na gościńcach wiodących do tej stolicy rozłożyły się były obozem bandy zbójeckie, które najokropniejsze popełniały bezprawia. Zmieniłem tedy plan podróży, udając się na statku parowym do Hawany, a ztamtąd do osady angielskiej Belize w zatoce Honduras. Tam nająłem sobie okręcik, którego ekwipaż składał się z pół tuzina tak zwanych *Karibów* czyli *Karaibów,* i popłynąłem tym statkiem w kierunku ku południowi, pomiędzy kontynentem amerykańskim a wyspami koralowemi, do Lewingston. Karybowie z krainy Honduras nie przywłaszczają sobie bynajmniej zaszczytu pochodzenia od prawdziwych *Karaibów* ze wschodnich wysp antylskich, niegdyś najpiękniejszej, lecz dzisiaj prawie zupełnie wytępionej rasy ludzi nowego świata. Są to bowiem właściwie tylko tak nazwani *Zambos,* to jest mięszańcy Murzynów z Indyanami.

Gdy okręcik nasz stanął u wejścia do zatoki *golfo dulce,* zarzucono kotwicę u wystającego daleko w morze półwyspu, tuż przed wsią ładną i malowniczą, którą Guatemalczycy zrzuciwszy z siebie jarzmo hiszpańskie, w pierwszem uniesieniu *Lewingston* byli nazwali, a to na cześć filozofa amerykańskiego tego imienia, którego projekt konstytucyi za obowiązującą u siebie ustawę wówczas byli przyjęli.

Wieś ta składa się z pięćdziesięciu chat, w których mieszkają, niewłaściwie tak zwani, *Karybowie* mówiący językiem murzyńsko-hiszpańskim. Równie jak dawniejsi Karaibowie wyspiarze, którzy w swoim czasie zasłynęli byli z rozbojów morskich, są i wyżej wspomnieni *Zambos* dobrymi marynarzami, a zatoka *golfo dulce* pełną jest ich łodzi (*pirogi* zwanych), na których łowią żółwie, sprzedawane potem w Belize. Tam za jednego żółwia pierwszej wielkości dostają tyle, iż mogą sobie żyć przez cały tydzień jak bogaci ludzie.

Wieczorem zapalono przed chatami światła z szczep sosnowych, a na wpół afrykańscy mieszkańcy zabawiali się tańcem, z towarzyszeniem narodowej kapeli, rzępolącej żwawo na gitarach, fletniach trzcinowych i bębnach zrobionych z fasek, na których po wybiciu dna kozią skórę rozpięto.

Statek nasz puścił się dalej w drogę w głąb kraju rozkoszną rzeką, Izabal zwaną. We dnie bawi oko szmaragdowy połysk tej górskiej rzeki, która płynie jakoby skalistą ulicą, okrytą w górze podzwrotnikowym lasem, i ozdobioną mnóstwem wielorakich pnących się roślin. Najpiękniejsze ptaki o rajskiem możnaby rzec pierzu, ożywiają lasy i pola, a lśniące motyle przelatują z kwiatka na kwiatek. Słońce atoli zieje skwarnemi promieniami. W dolnej części statku zostawać niepodobna, gdyżby się można udusić z zaduchu, a na pokładzie pod gołem niebem spiekota nie do wytrzymania. Nareszcie z jaki tuzin łodzi murzyńskich zaczepia linę o nasz statek i holuje go w górę rzeki. Gdzie atoli rzeka tworzy załom w kształcie kolana, tam łodzie zadziergają kotwicę o drzewo nadbrzeżne, i ciągną następnie statek jak to mówią *na śmigę,* dalej w górę rzeki. Czasem zagrają majtkowie na konchach, jakby Trytonowie, a dziwne te tony budzą w skałach echa.

W dół rzeki płyną raz po raz czółna, i rozgłaszają wiadomość: „iż w Guatemali wybuchło po-

wstanie, i że tak nazwani „*Lucios*“ *) plączą się po kraju.“ Nakoniec przypływamy do jeziora Izabal, które na naszych mapach pospolicie poczytywane bywa za jedno i to samo z zatoką *golfo dulce*. To zlewisko wodne jest położone wpośród przecudnych gór lesistych, a wietrzyk który wzdyma żagle naszego statku, zapędza nas aż po za twierdzę San Felipe, której założenie sięga jeszcze czasów zdobycia Ameryki, a której murów okrom niezliczonych pnących się roślin, jeszcze żaden nieprzyjaciel nie dobywał. W tej twierdzy rzeczpospolita guatemalska zamyka zbrodniarzów w swoich krajach na więzienie skazanych, którzy atoli tam bawią tylko dopóty, dopóki im wikt i okolica się podobają. Tutaj trzeba dowódzcy placu okazać pasporta, które on potem sam odnosi, rozumie się w towarzystwie całej załogi, składającej się z trzech żołnierzy, których całe uzbrojenie jeden karabin i jeden bagnet stanowi.

Wieś Izabal liczy dwieście chat, w których Indyanie czyli *Ladinos* mieszkają. Znajduje się tu także kilku stale osiadłych kupców angielskich i hiszpańskich, gdyż Izabal jest jedyną bramą wywozu dla produktów guatemalskich w kierunku ku morzu atlantyckiemu, a zwłaszcza tych, które z stolicy tego kraju przez miasta Zacapa i Gualan do Izabal idą.

Pierwszą noc przepędziliśmy w nędznej chacie (*rancho)* Indyan. Ci kolorowi synowie tego kraju, są zawsze gościnni, lubo i im w życiu z trudnościami łamać się przychodzi. Mężczyźni bowiem wracają do domu zwykle późno w noc z lasu, gdzie się najmują do ścinania drzew akażuowych, podczas gdy kobieta w domu pracuje i jedzenie dla nich przysposabia.

Największą pociechą tych pustelniczo żyjących ludzi są dzieci ich, które właśnie w nagości swojej (gdyż mieszkańcy kraju tego w młodym wieku żadnego odzienia nie używają) nadzwyczajnie są piękne, a osobliwie odznaczają się ślicznemi oczami, przypominającemi oczka gazeli. Cukierkami, które im rozdaliśmy, podzieliły się po bratersku, a nawet jednę część odniosły matce, której oblicze na widok tego uszczęśliwienia dzieci rozjaśniło się tak, jak gdyby na nie spłynęły promienie słońca.

W nocy przeobraziła się owa chata Indyanina w prawdziwy korab Noego, napchany szczelnie kurczętami i kurami, wieprzami i owadami. Mieszkańcy jej pożegnali nas, otrzymawszy na pocieszenie kilka realów. Tymczasem na dworze księżyc roztoczył fantastyczne cienie, a w ciemnościach nocy igrały miliony chrząszczów świecących. Rzeczka Molągua rwąc się w wulkanicznem swojem łożu, wtórzyła temu nocnemu obrazowi takim hukiem, iż odgłos jego rozlegał się po lesie, jakby grzmot odległy.....

*) Partyzanci a razem rozbójnicy.

Słówko do piszących.

Utyskiwania i skargi na zapoznanie pracy i talentu, na brak współczucia i zimną ze strony ogółu obojętność, jakie nie rzadko dają się u nas słyszeć z ust młodych zwłaszcza pracowników na polu literatury, spowodowały jednę z zacnych współpracowniczek naszych, do napisania kilku słów które zamieszczamy poniżej, dla zreflektowania tych nowoczesnych Jeremiaszów, przykładami zaczerpniętemi z sąsiedniej nam literatury. Rezultat z porównania wypada nader dla polskich pisarzy pocieszająco. My z naszej strony dodamy, że skargi podobne same z siebie dowodem są wielkiej mierności lub lichoty;— prawdziwy talent skarżyć się nie będzie: bo jemu nie chodzi o poklask gawiedzi,— jemu nie chodzi o to, czy go tłum kwiatami lub złotem, czy śmiechem lub plwaniem obrzuci. On ma sam w sobie poczucie własnej siły, własnej potęgi; — jemu bez względu na to, co świat powie, pilno wypowiedzieć co leży w głębi jego ducha, co mu piersi rozpiera, — bo wie, że słowa jego prędzej czy później ciałem się staną i przyniosą zbawienny owoc ludzkości, którą on kocha tą miłością wielką, czystą,— szczytną miłością, która nie pyta nawet o wzajemność.

Oto słowa Współpracowniczki naszej:

Smętność stała się dziś niemal powszechną cechą nadobnego piśmiennictwa polskiego. Nie jeden młody talent rozpoczyna pieśń swoję przy brzasku jutrzenki, z nadzieją i wiarą w dzień słoneczny i piękny, aliści niezadługo i jego piosenka smętniej dźwięczeć zaczyna — żałosne mnożą się tony, i w końcu staje się całkiem smutną i żałobną, tak jak jej poprzednie siostrzyce. Ton ten już nam i najwięcej przypadł do serca, tak, że przy wesołych zadźwiękach radzibyśmy z wielkim zawołali wieszczem:

„Wydobądź nutę z boleści wyjękłą,
Bo ton wesela raniłby mi duszę!
Wierzaj menstrelu, że ja płakać muszę,
By przepełnione serce mi nie pękło.“

Ale niechaj się do tej nuty serca, bolesnego współczucia i żalu, nie domięsza utyskiwanie na brak uznania i sympatyi ze strony współbraci, gorycz zapoznania i zwątpienie, bo Polska umie cenić proroków swoich! — Bywało wprawdzie niekiedy i u nas różnie, alež to wyjątkowo tylko — i rychło pochyliły się czoła w uznaniu kornem, i rychło uwieńczono skronie rzeczywistej zasługi. Dawniej Sebastyan Klonowicz wiek swój wyprze-

dził, w nowszych czasach śpiewak *Maryi* zawcześnie do grobu zstąpił — a poświęćmy łzę żalu i Julii Wojkowskiej!...—

Polska ceni, kocha i uwielbia swoich kapłanów słowa: Młodzian wrzący pragnieniem czerpie z nich siłę do przyszłych natchnień; dziewica splata pod wrażeniem ich pieśni najpiękniejsze wianki do swojej białej sukienki; mąż szuka w nich korony obywatelskiej; niewiasta utwierdzenia wiary swojej i pociechy!

Zajrzyjmy tylko do najbliższych sąsiadów,—tam dzieje się gorzej. Oto kilka przykładów:

Hermann Marggraff, w piśmie *Literarische Blätter*, mówiąc u Tieck'u i bójkach które pomiędzy sobą staczali i staczają znakomici pisarze niemieccy, tak się wyraża:

„Man kann leider kaum eine Biographie eines deutschen Dichters oder Schriftstellers lesen, ohne auf ein Gemengel solcher garstigen Kopfflechtereien, Perfidien, Bosheiten und offenbarer Nichtswürdigkeiten zu stossen. Und doch nennen wir uns mit Vorliebe *das gemutliche deutsche Volk!*"

W ostatnich czasach powstawała część znaczna prasy niemieckiej na swojego herosa na polu nauk i zacności, na Alexandra Humboldta! — Tak, tak, na Alexandra Humboldta, za wyszłe w Lipsku: *Briefe von Alexander v. Humboldt an Varnhagen v. der Ense.* Padały i padają zarzuty zajadłe oczywiście i na Varnhagena, a najzjadliwsze na siostrzenicę tegoż, która staraniem swojem te listy wydała. Nie wchodzimy w to, czy wspomniona książka ukazała się *zawcześnie*, czy panna Assing miała prawo do publikowania *wszystkiego*— lubo że czytamy w jednym z listów Humboldta:

„Ueber solch Eigenthum mögen Sie nach meinem baldigen Hinscheiden walten und schalten. Wahrheit ist man im Leben nur Denen schuldig, die man tief achtet, also Ihnen;" — *Kreuzzeitung* przezwała to listowanie: *eine Schandsäule, ein scheussliches Buch.* To spotkało wielkiego Humboldta po śmierci.

Hrabia August Platen - Hallermünde w ojczyznie swojej pojony był żółcią i octem—a nieraz nawet znamienity mistrz słowa, walczył z potrzebą powszednią. Umarł pod obcem niebem, i w Syrakuzie postawiono mu pomnik.

Nam zostawił piękną pamiątkę, tom jeden *Polenlieder.*

Bettina Arnim mało znalazła sympatyi i uznania pomiędzy współrodakami — a co gorsza, była wyszydzaną, i różne anegdotki ubliżające i niesforne koncepta na jej rachunek i o niej krążyły. W swojem dziele: *Dies Buch gehört dem Koenig,* boleje ona: „über die lieblose Krankheit der übermuthigen deutschen Nation."— Polskie dziennikarstwo pamięć jej słowem współczucia uczciło.

Julius Mosen, w Oldenburgu, umiera nędznie—czyli już umarł. Był on autorem: *Die letzten Zehn vom vierten Regiment.*

Hrabia Mailath, poeta i autor, z nędzy utopił się wraz z córką w Nekarze, w pobliżu Monachium, w pobliżu Walhalli!

Huwald żył nędznie i skończył marnie.

Schiller, wielki Schiller, łamał się z życiem powszedniem! — Stuletnią rocznicę urodzin jego, obchodziły wszystkie ziemie niemieckie. Dziś stawiają mu pomniki.....a za życia znał biedę.

Lessing żył w biedzie.

Bürger biedził się przez całe życie o chleb powszedni i doznawał upokorzenia.

Gellert żył w niedostatku i nie znalazł uznania.

Ale któżby tam i policzył wszystkich!

W *Dzwonie literackim*, tom IV, r. 1847, jest zamieszczony artykuł: *Los poetów w Niemczech*, przez J. L., z którego dla przypomnienia wypisujemy ustęp:

Luiza Brachmann, poetka, utopiła się w Elbie.

Schubart, znakomity poeta, twórca poematu *Die Fürstengruft*, przeżył lat 16 w więzieniu długiem na cztery stopy a szerokiem na trzy.

Grabbe, dramaturg i poeta, umarł z głodu licząc lat 32.

Ephraim Kuh życie sobie odebrał.

Lenz, przyjaciel Göte'go, umarł nędznie.

Zofia Albrecht, poetka, umarła w największym niedostatku.

Sonnenberg zastrzelił się.

Lessmann powiesił się.

Kleist, autor dramatów *Prinz von Homburg, Käthchen von Heilbronn* itd. zastrzelił się.

Enk von der Burg, poeta, któremu przypisują niektóre dramy hr. Münch- Billinghausen (Halm'a)—utopił się w Dunaju.

Kunderode, poetka, zakonnica, przyjaciołka Bettiny, przebiła się.

Lenau zwaryował i w domu obłąkanych strasznie zakończył.

Do tego smutnego spisu dodamy jeszcze:

Karolina Stieglitz przebiła się.

Kinkel był na śmierć skazany, został przez przyjaciela wykradziony z więzienia — a dzisiaj w Anglii znalazł przytułek i stał się użytecznym.

Joanna Kinkel, wielkoduszna małżonka poprzedniego, poetka, w Londynie rzuciwszy się z okna, rozbiła się na bruku; przypisywali ten straszny wypadek chorobie serca, spowodowanej cierpieniami srogiemi.

Herwegh'owie Fallensleben'y jako wygnańcy,
przytułku po amerykańskich szukają stepach.

†.

RÓŻNE RZECZY.

Wystawa Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie otwarta została w r. b. z dniem 15 marca. Mniej liczna, przynajmniej dotąd, niż po inne lata, bo zaledwie ośmdziesiąt kilka przedmiotów obejmująca, co do wartości nie ustępuje poprzedniczkom swoim, jeżeli wartość tę nie liczbą ale jakością przedstawionych dzieł oceniać będziemy. Wprawdzie w podobnych razach i liczba ma pewne znaczenie, bo jest wskazówką, o ile zamiłowanie i uprawa sztuki w kraju się szerzy, — jednak tą razą szczupłość wystawy naszej tłumaczy się tem łatwiej, kiedy zważymy, że i kontyngens prac artystów zagranicznych znacznie się zmniejszył. — Nietylko w czasach wojny milczą Muzy — milkną one i bezwładnieją także w czasach przechodowych, w chwilach, w których waży się przyszłość, w naprężonych chwilach przedburza.

Mimo tego spodziewamy się, że wystawa nasza powiększy się jeszcze cokolwiek— wiemy nawet z pewnością, że i krakowscy artyści nie wszyscy wykończyli swoje prace, z któremi jednak niebawem wyśpieszą;—zapewne i zkądinąd jeszcze coś przybędzie, zresztą zwykle to u nas bywa, że wystawa pod koniec dopiero się kompletuje. I my więc ze szczegółowem sprawozdaniem poczekamy na tę chwilę, — teraz zaś powiemy tylko, że główną ozdobą tegorocznej wystawy jest obraz p. Simmlera Warszawianina, przedstawiający zgon królowej Barbary. Obraz ten, o postaciach prawie naturalnej wielkości, znakomite zająłby bezsprzecznie miejsce na każdej europejskiej wystawie. Pan Simmler powinienby być wzorem naszym artystom,—wzorem wykazującym dotykalnie, jak sumienna praca i studya daleko zaprowadzić mogą. Od kilku lat widujemy obrazy p. Simmlera i każdy rok przynosi nam jasny dowód, jak artysta powierzony sobie dar boży pielęgnować i rozwijać umie. Szczęść mu Boże na tej drodze, która po dzisiejszych już sądząc rezultatach, daleko zaprowadzić go może. — Na pierwszem miejscu po Simmlerze, przynajmniej jak dotąd, postawilibyśmy p. Matejkę Krakowianina, który wystawił dobrze malowany obraz: Jan Kazimierz patrzący z Bielan na płonące przedmieścia Krakowa. P. Matejko, człowiek jeszcze bardzo młody, znany jest również od początków już swego artystycznego zawodu z sumiennej pracy i gorliwych studyów, i od kilku lat składa na wystawie tutejszej dowody znakomitego postępu. — Oprócz tych, godne wspomnienia są obrazki: Piotrowskiego (twórcy Wandy) Löfflera, Kotsisa, Grabowskiego, akwarelki Tepy i kilku innych. Zagranicę głównie reprezentują krajowidoki, na których występują takie nazwiska jak: Huguetów, Baumgartnerów, Engelhardtów, Hermanów, Majerhejmów i t. p.

Teatr. — W przeciągu ostatnich dwu tygodni widzieliśmy na scenie naszej kilka sztuk, które się po raz pierwszy na niej pojawiły,— a mianowicie: *Miód kasztelański* komedyę Kraszewskiego— *Ziemię obiecaną* komedyą z francuzkiego —i *Klotyldę de Valery* dramat z francuzkiego.— *Miód kasztelański* jest to zaiste jeden z mniej szczęśliwych utworów dramaturgii naszej; intryga tej komedyjki, jeżeli ją intrygą nazwać można, od samego początku nienaturalna i naciągnięta, rozwija się też i kończy nienaturalnie. Brat kochający i kochany, chcąc wyrugować od swej siostry (wdowy) ekonoma przybłędę, który wkradłszy się w jej łaski, namawia ją do wiecznego wdowieństwa widząc w tem swoje korzyści, — robi przeciw niemu formalny spisek i używa dość dziwacznie obmyślanego podstępu. Namawia bowiem znajomą sobie piękną damę, aby udając jakąś księżnę niemiecką, pod pozorem słabości żądała gościnności w domu jego siostry, a następnie rozkochała w sobie tego ekonoma czy plenipotenta. Ów szczwany niby lis, przeciw któremu tyle aż trzeba zabiegów, od razu daje się złapać i rozgorywa afektem do księżnej i jej mająku. W jakiś czas zaczyna się reflektować, ale pan rotmistrz (ów brat) upaja go butelką miodu starego (kasztelańskiego), i Sołoducha (ów ekonom) oświadcza się księżnej. Wiedząc o tem rotmistrz, sprowadza na tę scenę siostrę, jej kuzynkę, i jej konkurenta; — naturalnie, po wysłuchaniu oświadczyn, księżna parska śmiechem, wtórują jej niepostrzeżeni dotąd przez Sołoduchę świadkowie, — i w ten sposób dopiero ekonom splantowany zostaje! Wdówka idzie za swego konkurenta, któremu już była odmówiła, — pan rotmistrz żeni się z kuzynką.— Ot i koniec. — Charaktery słabo nakreślone, a raczej niema tam żadnych — wyjąwszy jednego rotmistrza, który acz blado, przedstawia typ hulaszczego i rubasznego wojskowego.—Artyści grali w ogóle dobrze, o ile można dobrze oddać postacie, nie mające żadnego wybitniejszego charakteru. P. Królikowski grający najlepiej narysowaną postać rotmistrza, grał też najlepiej.— *Ziemia obiecana*, jedna z lepszych komedyj przyswojonych naszemu językowi, przedstawioną też była wcale dobrze.— *Klotylda Valery*, jest to jeden z tych potworów dramaturgii francuzkiej, o którym dość powiedzieć, że się rozpoczyna morderstwem popełnionem na scenie przez bohatera sztuki, na zamordowanym już prawie poprzednio za sceną przez kogo innego lichwiarzu,— a kończy otruciem się znów na scenie dwojga kochanków. Mimo tego, ma on kilka scen efektownych, o co zresztą u francuzkich pisarzy nie trudno, — a u nas o tyle znalazł pobłażanie, że dał sposobność pannie Hoffman (w roli Klotyldy) do rozwinięcia w całej potędze bogactwa jej talentu. Wystąpienie jej w tej roli, utwierdziło nas w przekonaniu, któreśmy już dawniej objawili, rokując jej świetną w obranym zawodzie przyszłość. Jesteśmy pewni, że się jej dobije, jeżeli tylko na te dwie rzeczy pamiętać będzie: że każdy talent tylko pracą utrzymuje się i podnosi,—i że nawet gieniusz zaćmić się musi, gdy mu ziemia zbytecznie białe zabrudzi skrzydła.—W komedyjce z francuskiego: *Żona która zwodzi męża*, wystąpił po raz pierwszy pan Rakowiecki z Warszawy, w roli Franciszka. W grze jego widzieliśmy wiele naturalności i prawdy; — czasami mięszało się wprawdzie trochę przesady, ale tego rodzaju usterki u poczynającego artysty, łatwe są do wytłumaczenia. Czekamy zresztą występów p. R. w innych rolach, któreby go nam bliżej poznać dały.— Na benefis państwa Bendów grano znaną konkursową komedyą Korzeniowskiego: *Majątek albo imie;* zanadto już o niej pisano, abyśmy tutaj rozbierać ją mieli;— to pewna, że jest to zawsze jeden z utworów, który nie raz z przyjemnością na scenie widzieć można. Co do samego przedstawienia, to przedewszystkiem przyklasnąć musimy p. Królikowskiemu, który hrabiego Janusza grał z tak wybornem pojęciem roli, z taką konsekwencyą od początku do końca, że nic do życzenia nie pozostawało.— Jest to jedna więcej wskazówka, jak znakomitem dla talentu p. K. polem jest wyższa komika. — Hrabia Janusz, jest to figura *con amore* przez autora skreślona, tak, że inne bledną przy niej — i to może jest jednym z błędów komedyi; jest to prawie jedyny wykończony charakter — inne postacie słabiej daleko są narysowane. Mimo tego

w ogóle odegrane były bardzo zadowalniająco, wyjąwszy rolę Lickiego i Anieli, o których tego powiedzieć nie można. Licki deklamował całą rolę jak student kiedy się nie dobrze wierszy nauczy; Panna Drewnowska, występująca po raz drugi, w roli Anieli nie natrafiła jeszcze na swoję rolę. Sztywna, zimna, naprężona, nie miała w sobie ani odrobiny tego wdzięku, który powinienby koniecznie cechować tę, która wedle sztuki, na pierwsze wejrzenie wszystkim, starym i młodym, zawraca głowy. — Był to wielki błąd, psujący wielce wrażenie całości przedstawienia; — nie winujemy w tem jednak panny D.,—ale reżyser, który raz ją widział na scenie, nie powinienby jej był nigdy tej roli przydzielać.

W tych dniach przedstawiona będzie na naszym teatrze *Marya Sztuart*, dramat Juliusza Słowackiego.

W dniu 14 lutego odbył się w Wilnie obrzęd zaślubin p. Bolesława Jeleńskiego z panną Józefą Kieniewiczowną córką Hieronima Kieniewicza podkomorzego mozyrskiego. Młodej parze błogosławił Jego Excel. ks. Adam Krasiński biskup wileński. Notujemy ten fakt w kronice naszej, tem bardziej, że on złączony z prawdziwie pięknym czynem, którym nowożeńcy pierwszą chwilę nowego swego w życiu społecznem stanowiska uświęcić umieli.— Według tradycyjnych zwyczajów ojców naszych, którzy podobnego rodzaju uroczystości familijne wesołą ucztą obchodzić zwykli, dzieląc swą radość z gronem familii i sąsiadów, i tych swoich gości z całą szczerotą i wrodzoną gościnnością podejmowali, i dziś państwo młodzi wystąpili z ucztą, tylko że nie w błyszczących salonach, ale w skromnych salach Zakładu Dobroczynności, — że grono biesiadników lubo bardzo liczne bo do 400 osób wynoszące, składali ubodzy, starcy, kaleki i sieroty. — Wprost ze ślubnego kobierca udali się otoczeni członkami rodziny do przygotowanych sal, gdzie zaprosiwszy tych swoich gości, nowożeńcy czynności gospodarzy spełniali.

Piękny to był widok! gdy młody obywatel pierwszy kęs chleba z ubogim rozłamał; gdy młoda gospodyni, jeszcze w wianku oblubienicy od tego swój zawód zaczynała! A śliczny to był w tej chwili jej wianek, który łzy i błogosławieństwa ubogich ożywczą rosą skropiły.

(z G. P.)

Piszą z Olkuskiego. Jeżeli dziedzic, dzierżawca dóbr, proboszcz lub inny ukształcony obywatel kraju, zakładający na wsi szkółki i krzątający się około oświaty ludu, zasługuje na wspomnienie, toć obywatel-włościanin zakładający szkółkę, i sam uczący bezinteresownie dzieci swoich współmieszkańców, a nawet kupujący za krwawo zapracowany grosz elementarzyki dla swoich uczniów, zdaniem naszem zasługuje tem więcej na wspomnienie i oddanie czci publicznej. Tym zacnym obywatelem jest osadnik wsi *Brudzowic* w Olkuskiem, Joachim Urbańczyk.

Wieś Brudzowice położona w powiecie olkuskim, pomimo swej zamożności dotąd nie miała szkółki, a dzieci włościan wychowywały się jak przed wiekami ich dziadowie i ojcowie—z tą tylko różnicą, że będąc bogatsi od swych przodków, wypijali więcej wódki, a ostatniemi czasy araku; jak niemniej, że w skutek sąsiedztwa utracali z na pół zniemczałemi Szlązakami z każdym dniem poczciwość, prostotę i bogobojność.

Joachim Urbańczyk około 60 lat liczący, osadnik tej wsi, chłop z chłopa, przez szczególną troskliwość swych rodziców, odebrał jaką taką naukę, a poznawszy dobro jej, postanowił założyć szkółkę w własnym domu i bezpłatnie nauczać dzieci swych współkmieci. W szlachetnym zamiarze nie powstrzymały go żadne przeszkody, a zwalczywszy wszystkie, przed kilką miesiącami liczył już 28 uczniów.

Oby to poświęcenie się zacnego Urbańczyka dla dobra swoich współkmieci, było dla innych wskazówką, jak należy pojmować obywatelskie powinności, i jaka ztąd dla ogółu korzyść wynika.— Daj Boże! abyśmy więcej takich Urbańczyków naliczyć mogli. *(z G. P.)*

W miasteczku Rymanowie, w obwodzie sanockim, założoną została resursa rzemieślnicza. — Celem tego Towarzystwa jest budzenie moralności przez wstrzemięźliwość w piciu, powściąganie języka i ogółem rozwinięcie życia. Czas zgromadzeń jest niedziela i w ogóle dni świąteczne; miejsce zaś nie szynk, nie karczma, ale dom mieszczański, nie zawsze jeden i ten sam, gdyż to zależy od dyrektora, gdzie członkowie mają się zgromadzić.

Posiedzenia zwykle zagaja dyrektor, poczem następują raporta z upłynionego tygodnia, wytaczają się skargi na tego lub owego o przekroczenie prawa, potem idzie wyrok kary, który izba zatwierdza powstaniem; zwykle karę stanowi drobna kwota pieniężna, którą osądzony oddać winien do kościoła, na ubogich lub światło.—Po zakończeniu tych, że tak powiem, spraw sądowych, dają znać ks. proboszczowi, że tam a tam znajduje się zgromadzenie, prosząc go aby do nich przyszedł i o dzisiejszych czasach z niemi pogadał.

Taką jest owa resursa, wprawdzie nie wykwintna, ale bardzo pożyteczna—, sądzimy nawet, że nie trudno byłoby coś podobnego i w najlichszej mieścinie urządzić.

Nie wiele miast odznacza się równie jak Warszawa dobroczynnością i poświęceniem dla cierpiących; — każdy smutek, nieszczęście, niedola, znajduje ludzi gotowych im zaradzić, spieszących złożyć swój wdowi grosz na ołtarz ubóstwa. — Dowiadujemy się, że loterya urządzona przez redakcyą *Czytelni niedzielnej* na korzyść ubogich matek, znalazła silne poparcie u publiczności. Liczba fantów pomnaża się, a widzieliśmy pomiędzy niemi, prócz pięknych robótek, błyskotek, i rzeczy pożyteczne, jak: Obraz śmierci Barbary Radziwiłłowny, mapki, exemplarze *Czytelni niedzielnej*, książki ludowe, i prawo umieszczenia sierotki na koszt redakcyi w zakładzie ś. Wincentego a Paulo. Jak tylko dopełni się liczba fantów, rozpocznie się sprzedaż biletów, których jest 1500,— bilet kosztuje 2 złp. i każdy wygrywa.

Mody. Ponieważ wiosna prawdziwie nie zaczęła się jeszcze, dlatego prawie żadnych zmian niema w modach; suknie ciemne wełniane najwięcej czarne, staniki do paska pod szyję, rękawy nie zbyt szerokie, tylko do większego stroju stany do gorsu. Kołnierzyki angielskie z krawatkami są najwięcej używane, odzienia jeszcze jesienne, długie kuliste tak zwane *Panché* surduty, paletoty sukienne lub z doublonu, kapelusze jeszcze aksamitne, lecz mniej już spiczaste; widać już także i jedwabne lub koronkowe, u tych główki bez denek, tylko marszczone i spuszczane, fryzury różne, ale najwięcej wywijane włosy od czoła, a poza tem warkocze, do tego ubranie sparta lub rezylla, z spartą u której na boku kutas, rezyllę jak dawniej u kordonka lub tasiemeczki, ubrane czarną sieczką lub perłami; dla młodej mężatki rezylla z srebrnej siatki, ubrana nad czołem od lewego boku ku prawemu czarnym aksamitem lekko skręconym, na boku zakończenie węzłem pła-

skim i dwa końce od tegoż puszczone oszyte czarną koronką, a z lewego boku ku szyi zwieszają się dwa białe strusie pióra, włosy wywinięte.

Wiadomości bibliograficzne.

Znanej już czytelnikom naszym *Biblioteki domowej* wyszło w tych dniach sześć nowych następujących tomów, które nabyć można we wszystkich znaczniejszych księgarniach, albo w Bruxelli u Zygmunta *Gerstmanna*, *rue neuve* 34, po cenie 2 franki za tom.

Tom 12, 13, 14, 15, *Dzieła dramatyczne* Fryderyka *Szyllera*, przekładu M. B. str. 394, 247, 478 i 420.

Niniejszy zbiór obejmuje prócz żywotu autora, następujące dramata: Oblubienica z Messyny, Don Karlos, Marya Stuart i Wilhelm Tell, wierszem; — prozą zaś: Intryga i i Miłość, Rozbójnicy i Fiesko. Brakuje Dziewicy z Orleanu i Walensteina, które tłumacz pominął, jako znane publiczności polskiej z przekładów Odyńca i Kamińskiego.

Tom 16, 17. Amalia, powieść moralna z życia wypisana dla życia, przez Felixa *Kozłowskiego* str. 278 i 270.

Cel moralny jaki sobie autor założył, jest główną tej powieści zaletą. Tadeusz kochanek Amalii, zamiast zwiedzać obce kraje, po własnym odbywa pieszą podróż. W tej podróży poznaje bliżej mieszkańców, ich cnoty, bogobojność, zamiłowanie narodowości; pozbywa się przez to uprzedzeń i przesądów, jakiemi go mniemana cywilizacya dzisiejsza natchnęła; wchodzi na drogę, po której postępując ojcowie nasi, mieli w domu pokój i ciche szczęście, a na zewnątrz znaczenie i głośną sławę.

Technologia niewieścia.

Śledź po Lionsku. Śledzi dobrych, *mleczaków*, namoczyć kilka w letniej wodzie przez dzień jeden i noc—potem obtarłszy je serwetą, odciąć od każego główkę i widełki w całości; zaś korpus śledzia pokrajać, wybrać staranie zeń wszystkie ości i zesiekać mięso na masę. Potem dodawszy doń trochę białej roztartej cebulki, tarte surowe jabłko, oliwy doskonałej, rozetrzeć to wszystko razem łyżką. — Następnie podzieliwszy tę masę, układać ją napowrót w kształcie śledzi na półmisku, założyć każdemu odciętą główkę i widełki, ubrać po wierzchu zaprawionem mleczkiem i talarkami cytryny i podlać podlewą, która się przyrządza w sposób następujący: Weź mleczko śledziowe rozetrzej jak najlepiej, dodaj 4 łyżki prowanckiej oliwy, trąc za każdą łyżką — sok z pół cytryny lub parę łyżek dobrego octu, cebulki tartej, a w końcu marynowanych kaparków

Kotlety lub kiełbaski z ryby. — Z oczyszczonego lina, szczupaka lub innej drobniejszej ryby, oberznij samo mięso, powybieraj ości, a usiekawszy mięso bardzo drobno, dodaj doń smażoną jajecznicę z kilku jaj, kawałek ośrodki samej z bułki moczonej w słodkiem mleku i wyciśniętej z mleka—to razem wszystko pomięszawszy, przesiekać znowu potem tłuc w moździerzu na masę, a dodawszy w końcu trochę tłuczonego pieprzu, gałki muszkatołowej, soli, zielonej drobno siekanej pietruszki, kawał surowego świeżego masła, parę jaj surowych,— to wszystko wymięszawszy przetasować przez sito, robić płazkie, okrągłe kotleciki lub taczać kiełbaski i obsypawszy lekko mąką lub tartą bardzo drobną bułką, dać na gorące masło— a gdy się zarumieni z jenej i drugiej strony, wyłożyć na półmisek, polać masłem klarownem, posypać pietruszką smażoną lub cebulką i dać na stół.

Ostrygi faszerowane. Gdy oczyścisz ostrygi i ze skorup dobędziesz, włóż je i masło w rądel, przysmarz trochę, dodaj nieco szpiku zsiekanego, parę sardeli, pietruszki zielonej drobno siekanej, nieco cebulki, trochę soku z ostryg, i tak duś (dynstuj) to wszystko razem. Tymczasem wymyj i wyczyść skorupki jak należy — farsz odstaw od ognia, dodaj doń parę żółtek surowych, wymięszaj, nakładaj nim skorupki, posyp tartą bułką, pokrop masłem, posyp każdą po wierzchu miałkim pieprzem, pociśnij cytryną, obłóż w koło talarkami cytryny i daj na stół.

Ostrygi na surowo dane. Gdy je pootwierasz, pomyjmuj ze skorupek, ułóż na półmisku, posyp każdą po wierzchu miałkim pieprzem, pocisnij cytryną, obłóż w koło talarkami cytryny i daj na stół.

Sztokfisz po Kapucyńsku. Sztokfisza chcąc aby był smaczny, trzeba najprzód wymoczyć następującym sposobem: wziąść zuzli z popiołem z pieca *kaflowego*, zrobić ług dosyć mocny, i nim zalać jednę lub więcej trzasek sztokfisza, niech tak moknie przez 4 do 5ciu dni. Gdy napęcznieje, odlać ług a nalać czystej rzecznej wody zimnej, niech znów w niej moknie przez dwie doby, a co 24 godzin wodę odmienić należy. — Tak odmoczony sztokfisz, kraj w dosyć duże kawałki, zagotuj wodę, posól i daj go na tę wodę, aby się nieco tylko zagotował; jak tylko woda zakipi, zdejm i wyłóż na sito aby odciekł — nakraj w płaskie kostki włoszczyzny: marchwi, selerów, pietruszki, cebuli, włóż do rądla z kawałkiem masła, zakrop wodą i duś, aż włoszczyzna zmięknie, potem posyp garstką mąki, rozmięszaj, zalej jakim rybim smakiem, abyś miał sos jak do flaków, zagotuj, włóż, weń sztokfisza, bardzo mało zagotuj, wyłóż na półmisek, poprusz tłuczonym imbirem albo kwiatem muszkatołowym, polej rumianą bułką tartą z masłem i wydaj.

Sztokfisz z Beszamelem. Tak samo jak poprzednio przyrządzonego i ugotowanego sztokfisza, układaj kawałkami na półmisku, przelewając beszamelem przyrządzonym w sposób następujący: rozpuść kawałek masła w rądlu, dodaj trochę zielonej pietruszki siekanej, kwiatu muszkatołowego garść pszennej mąki, zasmaż to na ogniu, rozprowadź półkwartą przegotowanej słodkiej śmietanki, rozmięszaj dobrze i ugotuj, aż się z tego zrobi sos gęsty. Tym sosem czyli beszamelem, przelewaj sztokfisza na półmisku, narzuć z wierzchu smarzoną osobno cebulką, poprusz tartą bułką i daj na kwadrans w niebardzo gorący piec, a gdy się to wewnątrz zagrzeje i z wierzchu przyrumieni, wydaj z tym półmiskiem blaszanym na stół.

Ślimaki po prostu do chrzanu. Ślimaki które się jeszcze nie pootwierały, wypłacz i ze skorupami zagotuj w wodzie, potem odcedź i daj do zimnej wody, — poczem powyciągaj końcem noża ślimaki ze skorupek, poodcinaj im czarne tylne końce, wytrzyj je w soli i gotuj przez godzinę z włoszczyzną i korzeniem, potem wyłóż w serwetę i daj gorąco na stół. — Osobno zaś podaj chrzan tarty z octem.

Zupa owsiana czyli żur ze śledziem, stokłóską albo z grzybami.— Dziś na jutro zalej osypkę owsianą dwiema lub trzema kwartami wody, postaw w cieple, aby ukisła, poczem dobywaj ją rękami i cisnij przez sito, ą otrzymasz z tego płyn gęsty jak mleko. Na 10 np. osób. zagotuj trzy kwart wody, do której gdy zakipi, wlej 2 kwart owego owsianego płynu, zasól go i gotuj aż zgęstnieje; poczem odstaw, rzuć wymoczonego i skrajanego śledzia do wazy, trochę stłuczonej stokłuski, zalej żurem i wydaj na stół. Możesz przytem wydać kartofle strugane gorące albo groch jak przy kapuśniaczku, lub też grzybki usztakowane, osobno odgotowane, które potem razem zmięszaj; możesz go też podprawić i śmietaną zabilić.

Zupa piwna innym sposobem. Zagotowawszy 3 kwarty piwa, rozbij kwartę kwaśnej śmietany z 4ma jajami, garst-

ką mąki, kawałeczkiem masła, zabiel nią piwo, nakraj w kostki chleba i sera, wsyp do wazy, nalej zagotowanem piwem i wydaj.

Zupa grzybowa czysta, klarowana. Weź grzybów suchych ile ci mieć potrzeba, wypłókawszy, nalej je wodą i gotuj z cebulą, włoszczyzną i trochę korzenia; gdy miękkie, wycedź zupę do innego rądla, okraś ją sporo rumianem masłem, grzybki usiekaj i także tam włóż, zasyp łazankami, tartem ciastem albo francuskiemi kluskami, zagotuj i wydaj na stół, dodawszy trochę pieprzu i zielonej pietruszki. Chcesz mieć białą, zabiel śmietaną kwaśną z żółtkami i wydaj; chcesz aby była zawiesista, zrób zaprażkę i zapal ją; — chcesz zaś aby była mięsna, gotuj grzyby w rosole, albo rozpuść zupę rosolem, lecz już masła wówczas nie dawaj.

Nowalie ogrodowe. Z tych po szparagach, zwykle jest najpożądańszym wczesny zielony groszek i ziemniaki (kartofle).— Otóż która gosposia mieć je pragnie jak najwcześniej na swym stole, niechajże teraz, nie tracąc czasu, obierze w ogrodzie swoim miejsce do słońca położone, od wiatrów zaciszone, najlepiej gdzieś pod ścianą lub murem budynku albo parkanem, gdzie mróz wyszedł już z ziemi i ta wewnątrz odtajała. — Jeżeli ziemia sprawna i tłusta, to skopać ją tylko czyli zryć trzeba dobrze, – jeżeli nie, to potrząść tłustym nawozem bydlęcym, przyryć głęboko i sadzić ziemniaki *pośpiechy szafirowe* lub tak zwane białe rogaliki,— nie krająć ich, ale całe sadzić, bo będą wytrwalsze na zimno.— Podobnież postąpić i z grochem cukrowym; jeżeli groch ma się tyczyć czyli rózgi mu dawać, to siać go rówkami,— tak daleko jeden rówek od drugiego, żeby na dwa rówki wystarczył środkiem rząd jeden rózg;— zaś jeżeli groch piechota, to siać go nie zbyt gęsto ani rzadko na grzędzie i zagrabić potem. Dla ochrony zaś od mrozów, które czasem i w maju zwykły niespodzianie nas nawiedzać, przytrząść grzędy z grochem i ziemniakami suchą słomą mierzwą dosyć grubo, ale lekko bez przytłaczania, żeby słoma nie wyleżała z czasem grządek. Po pierwszym deszczu ciepłym, można słomę grabiami odrzucić lekko do bruzd — gdy zaś wieczorem uważa się, że noc ma być zbyt chłodna lub zanosi się na przymrozek, przykryć na noc choć lekko grzędy słomą. W razie suchej wiosny, podlewać grzędy ale nie zbytnie i nie często— i tylko w razie zbytniej posuchy.

W ten sposób sadzone i pielęgnowane groch i ziemniaki, wydadzą niezawodnie przed połową czerwca nowy i smaczny do użytku owoc.

Lekarstwo na spazma nerwowe. — Popijać odwar rumianku pomięszanego na pół z lipowym kwiatem.

Ten sam środek jest bardzo skteczny przeciw *kolce*, z tą różnicą, że się bierze szczyptę rumianku, szczyptę lipowego kwiatu, szczyptę kwiatu pomarańczowego; zalać wodą kipiącą, — gdy postoi trochę, scedzić i ciepłe popijać na kolkę.

Lekarstwo na różę.—Kwiat świeży czy suchy, róży *cukrówki*, namoczyć w okowicie w szklanem naczyniu przez 9 lub 12 godzin w cieple, to jest w zimie na piecu a w lecie na oknie do słońca. Poczem bierze się różę, wyciska ręką z okowity, i kwiat wyciśnięty przykłada się na miejsce bolące. W miarę jak ten kompres wyciąga z ciała gorączkę i chorobę, schnie on prędko, a gdy uschnie, odrzuca go się a świeży z okowity kwiat wyciśnięty, przykłada się—co dotąd się powtarza, dopóki puchlina i czerwoność nie wyjdzie całkiem z ciała — środek ten dokładnie użyty, najskuteczniejszym okazał się ze wszystkich dotąd używanych przeciw tej przykrej słabości.

KORESPONDENCYA WIEŃCA.

Zwracamy uwagę tych szanownych Abonentów, którzy zaprenumerowali *Wieniec* na 2gi kwartał to jest od Kwietnia, żeby nie oczekiwali 1go Numeru tego pisma wcześniej, aż po 15tym Kwietnia; — bo dwutygodnik *Wieniec* od początku swego istnienia, wychodzi nie z 1szym ale z 15tym i 30tym dniem każdego miesiąca, jak to na czele każdego Numeru bywa zapowiedziane. —

Niektórzy zaś z nowych Abonentów nadesłali prenumeratę, nie wymieniając, czy chcą od 1go Numeru, czy też na następny kwartał.

Szanownym Abonentom reklamującym o nieotrzymane dotąd Numera *Wieńca*, odpowiadamy następnie: Zaręczyć możemy, a nawet w razie potrzeby złożyć i dowody, jako każdy nowo wychodzący Numer *Wieńca* najpunktualniej w swoim czasie i porządku wysełany bywa na miejsce swego przeznaczenia; — jeżeli zaś nie dochodzi rąk Szanownych Abonentów, lub też otrzymują go późno i sponiewierany,— to nie redakcyi ani jej ekspedycyi jest winą, ale miejscowej poczty. O co podawaliśmy już zażalenie do c. k. Dyrekcyi pocztowej,—i w skutek tegoż otrzymaliśmy już parę podziękowań od Abonentów, którzy odtąd (jak nam donoszą) otrzymują w zupełnym porządku Numera *Wieńca*. — Otóż reklamującym poprzednio osobom, a mianowicie: Pani Kobuzows. poczta Iwonicz reklamującej o Ner 1szy, pani Wandzie Lewickiej poczta Złoczów, żądającej powtórnie Nru 3go, pani Waleryi Słab. poczta Brody, żądającej powtórnie Nru 5go,— pani K. Szybalskiej, poczta Gdów, żądającej Nru 5go. Te numera powtórnie przez redakcyę przesłane zostały na żądanie. — Że zaś redakcya ponosi ztąd wielkie straty, tracąc z każdym powtórnie przesłanym Numerem cały rok dwutygodnika;— a zatem chcąc nadal zapobiedz temu nieładowi po pocztach prowincyonalnych, w miejscu przesłania szanownym Reklamującym żądanych numerów, jako to: JW. Klaudyę Dzieduszycką poczta Stanisławów, reklamującą o Nra 3, 4 i 5ty *Wieńca*, — Wgo Jana Haszyc, poczta Mosty Wielkie, reklamującego o Ner 4.— Wną Hoszowską poczta Wojnitów już po raz *drugi*, reklamującą o Nra 1 i 4ty, — a które na pierwszą reklamacyą już Jej powtórnie przesłane zostały. – Redakcya *Wieńca* wzywa najuprzejmiej, ażeby o te nieotrzymane Numera upomnieć się raczyli seryo, każdy swemu pocztmistrzowi miejscowemu; — a gdy poczta wykaże urzędownie, że te numera nie zostały jej przez pocztę Krakowską przesłane,— Redakcya nieomieszka przesłać je swym kosztem szanownym Reklamantom, za ich doniesieniem.

Wytłumaczenie Rebusa: *„Modli się pod figurą a djabła ma za skórą."*

GOCZAŁKOWSKA JULIA Redakt. odpowiedz.— Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu" — Rząd. drukarni ANT. ROTHER.